

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 6 lipca 1952 r.

Nr 27 (345)

Stefania SKWARCZYŃSKA

Pascal wiecznie żywy

DEWELACYJNA i dogłębnie buntownicza jest teza Pascala *) o zmienności człowieka. Człowiek jest w wiecznym ruchu; czas goi ból i uśmierza kłótnie, bo nie jest już tą samą osobą obrażający i obrażony. Nie tylko patrzymy na rzeczy z różnych stron, ale i różnymi oczyma. Człowiek nie znosi pełnego spokoju; namietność, pragnienia, dążenia bronią jego niezależności i strzegą go przed pustką.

Na tę zmienność człowieka, na ten popęd do szukania, na serce skłonne do namietności liczy Pascal - apologeta. Naturalna zmienność człowieka otwiera możliwość jego odwrotu od zła i nicości a zarazem pragnienia Boga. Do niego, Pascala, należy ukazanie Boga jako jedynie godnego ludzkich pragnień, tak jak ukazanie pragnienia i dążenia jako czegoś, co tkwi w naturze człowieka z racji jej zmienności.

Tak więc krytyka współczesności, dosiegająca tę współczesność w człowieku klasy uprzywilejowanej, w układzie społeczno-ustrojowym, wreszcie w podstawowych, broniących go tezach o sankcjonowanej przez Boga i naturę niezmienności praw, sprawiedliwości i natury człowieka — ukazała apologetę nie tyle co, bo szanse zwycięstwa w walce z grzechami jawnymi i niejawnymi, okrytymi maską stanowych przywilejów, szanse zrzucenia człowieka z równi pochyłej jego złych skłonności na drogę poszukiwania Boga. Znajomość zaś konkretnego człowieka w jego przeróżnych odmianach pozwoliła mu dobrać argumenty takie, które by mogły trafić do niego niemal indywidualnie. Jedne z nich przeznacza dla jednego typu ludzi, inne dla innego.

Powie więc najpierw wszystkim, że wśród doczesnych dóbr cennym dobrem, będącym przedmiotem pożądania, jest szacunek i miłość ludzka, a tych nie zyskuje się ani przypadkowymi właściwościami, ani tym nawet, że się ma duszę. Abstrakcyjnej duszy kochać nie można. Żąda się od niej zalet, których istotność wykuwa kontakt z Bogiem. Bez Niego nawet cnota jest pokrywą interesowności i pożądlivosti, jak dobroczynność, za którą tania się kupuje dobrą opinię o sobie. Powie potem tym, którzy lękali by się utraty wolności w życiu z Bogiem, że nieograniczona wolność jak i zadowolenie wszystkich potrzeb, nie leży ani w możliwościach, ani w interesie człowieka, który zawsze jest nieswoty i zawsze, choć o tym nie wie,

ograniczony w wolności. Powie, znając ludzki popęd do szczęścia, że tylko Bóg, nie świat, zadowolony ten popęd. Powie tym, którzy boją się ulec złudzeniom że i tak żyją bezustannie w złudzeniu, okłamywani, często na własne życzenie, przez fałsz i pochlebstwo, przez zwyczaje, przez własne wrażenia i wyobraźnię, zmieniającą proporcje rzeczy, ich sens i racje. Tym, którym się ryzyko życia z Bogiem wydaje za wielkie, powie, że rachunek prawdopodobieństwa zysków i strat przekreśla wielkość stawki. Tym, których odstrasza trud i wysiłek szukania Boga, powie o wielkości Jego łaski, która tylko na to czeka. Pyszalkom powie o małości człowieka. Porażonym własną małością powie o Jego wielkości. Bezmyślnym i nie doceniającym rozumu wskaże najwyższą godność człowieka, jaką jest jego myśl.

Ambicjom racjonalistów stawia przed oczy obraz ograniczeń rozumu. Powie im, że rozum skrępowany jest obowiązkiem wierności wobec rzeczywistości, że nadto liczyć się musi z położeniem człowieka, zawieszonym między dwiema nieskończonościami: nieskończona małością i nieskończoną wielkością, co sprawia, że wymykają mu się fakty nawet czysto materialne, że wreszcie cząstka wszechświata, jaką jest człowiek, nie może bez reszty ogarnąć całości. Powie im także, że nic z tego, o czym mówi religia, nie jest przeciwne rozumowi. Stoikom wytknie ich ahumaryzm, brak uczestnictwa w sprawach ludzkich, ukryty pod maską spokoju i wyniosłej obojętności egoizm.

JAKAŻ rolę odgrywa w Apologii plon pracy naukowej Pascala, uwieńczony przemyśleniami metodologicznymi i filozoficznymi?

Przed wszystkim trzeba zdać sobie sprawę, jak dalece rzeczą nową i rewolucyjną było samo przerzucenie w teren problematyki teologicznej zdobywcy nauki eksperymentalnej i ścisłej oraz jej przesłanek metodologicznych, skoro taka rzecz do dziś dnia sprawia trudności apologetom i dogmatykom; aż trudno uwierzyć, że stało się to faktem już w XVII wieku, niemal równocześnie z uformowaniem się nowoczesnych podstaw fizyki. Takie założenie pociągało za sobą przetrzebiecie dawnego, czcigodnego swą tradycyjnością arsenału argumentów dogmatycznych, rezygnację z niektórych najbardziej ustalonych, na dante pozostałym, uleżałym jak tytoń i ocukrzonym jak figa, nowego sensu i wymowy, wreszcie wprowadzenie argumentów nowych. Trzeba stwierdzić, że tego rodzaju gospodarka Pascala w dorobku teologii nie była gospodarką niepowołaną i bez-

ceremonialnego laika. Jeśli wiedzy teologicznej Pascala w dobie Prowincjałek można by to i owo zarzucić, to teraz stał się Pascal istotnie uczonym w Piśmie.

Należy przede wszystkim — zdaniem Pascala — zrezygnować z dowodu istnienia Boga na podstawie istnienia i ładu świata. To może przemówić tylko do tych, którzy i tak wierzą, więc wszędzie widzą rękę Boga. Natomiast opierać się wobec ateistów na „biegu księżyca i planet“ to wspomagać ich przekonanie, że „dowody naszej religii są bardzo słabe; i widzę — dodaje Pascal — przez rozum i doświadczenie, że nie się tak nie nadaje do wzbudzenia dla nich pogardy“. Figury zaś Starego Testamentu nie są w pojedynkę i same w sobie dowodami boskości Chrystusa; dopiero zbieg wymowy tych figur z cudami ewangelicznymi i faktami historycznymi staje się argumentem. Serię nowych argumentów wyciągnie Pascal z analizy natury ludzkiej, z analizy położenia człowieka we wszechświecie, z serii konkretnych faktów.

Pogląd na decydujące znaczenie konkretnego faktu i określenie zobowiązań wobec niego uczciwej myśli jest podstawową zdobyczą Pascala - naukowca. Zasadniczym zadaniem jest ustalić fakty, opanowawszy je doświadczeniem. Rozum jest sługą faktów, nie ich panem. Fakty są różnego typu — i to jest fundamentalną sprawą dla Myśli. Jedne przynależą do rzeczywistości materialnej, inne do historycznej, inne do metafizycznej, wreszcie szereg ich powstaje na ich styku, jako że — zdaniem Pascala — nie istnieje naturalna granica między polami rzeczywistości; wszystko w rzeczywistości jest wzajemnie uzależnione i splecione; granice są rzeczą sztuczną, narzucaną przez człowieka. Rozum ludzki ustala fakty materialne dzięki doświadczeniu; wobec faktów historycznych, które wymykają się jego bezpośredniemu doświadczeniu, musi zrezygnować po części z swoich praw, przyjmując autorytet tych, którzy je relacjonują.

Do zadań rozumu, w obu wypadkach, należy ustalanie związków przyczynowych, odkrycie ich zawężeń konkretnych, nie zaś narzucanie ich rzeczywistości, jako że nie rozum jest miarą prawdopodobieństwa, lecz rzeczywistość jest podstawą formułowania praw logicznego prawdopodobieństwa. Fakty rzeczywistości metafizycznej są dostępne częściowo wewnętrznemu doświadczeniu człowieka, częściowo zaś obowiązuje wobec nich ta sama postawa co wobec faktów historycznych, z którymi są też poprzez histo-

ryczność ewangelii związane, a mianowicie uznanie autorytetu.

Fakty te przekraczają częściowo pojemność i możliwości ludzkiego rozumu, który jednak na swojej własnej drodze może poznać własne ograniczenie i płynące stąd konsekwencje. Albowiem fakt, wszelki fakt, ma swoje istnienie niezależne od ludzkiego rozumu. Ograniczenie uroszczeń rozumu na rzecz faktu, przyznanie prymatu faktom i rzeczywistości w stosunku do rozumu — to ów kamień węgielny filozofii Pascala-fizyka, który przenosi on na teren problematyki religijnej. Rozszerzwszy w tej perspektywie skalę faktów i zasięg rzeczywistości — nie przyznaje tutaj rozumowi większych praw niż w dziedzinie fizyki. I nie możemy przecież wymagać od Pascala, by był hojniejszy w przyznaniu mu praw na terenie zagadnień religijnych niż na terenie fizyki.

Stojąc na stanowisku wzajemnej współzależności faktów, na gruncie ich związków przyczynowo-skutkowych, potwierdza raz jeszcze zmienność rzeczywistości, opanowanej jednak regularnością praw nią rządzących. Że jednak badania matematyczne uświadamiają mu rolę przypadku ingerującego w prostolinijny bieg rzeczy — nie decyduje się na koncepcję rozwoju rzeczywistości po linii prostej ewolucji: uzna i oceni wagę przełomów tak w życiu duchowym jednostki, jak i w historii, której postęp ujrzy poprzez łamane linie.

Bo i historii, i życia wewnętrznego tyczy twierdzenie, że „natura działa przez postęp, *itius et reditus*. Idzie i wraca, potem idzie jeszcze dalej, potem cofa się, a potem idzie dalej, więcej niż kiedykolwiek...“ Szczegółowe wnioski stąd wyprowadzone są iście obraźliwe dla obowiązującego wówczas ideału klasyków; starożytni — wedle niego — byli kiedyś młodzi i nowi; dziś nie może obowiązywać ich stanowisko po zdobyciach doświadczeń całych wieków.

Uznanie związków, współzależności i wzajemnego oddziaływania faktów rzeczywistości każe Pascalowi widzieć je także u styku rzeczywistości materialnej, historycznej i metafizycznej. Stąd Bóg jest dostępny człowiekowi, a człowiek swoją nędzą mógł sprowokować miłość Bożą, która go odkupiła. Te kontakty, związki, współzależności są dane człowiekowi przemownym argumentem doświadczenia, wewnętrznego doświadczenia.

OBSERWACJA rzeczywistości, tak materialnej jak historycznej, prowadzi Pascala do śmiałego przeciwstawienia się leżom tradycyjnej logiki. Prawu

W NUMERZE m. in.:

- Z. LICHNIAK — Złote godziny wielkiej pisarki
- A. WISŁOCKA — Biblioteka Narodowa
- S. BLAUT — Tam gdzie rosną nowi ludzie
- M. TAJMUR — Żebrak
- L. DWERNICKI — Czerwińsk leży nad Wisłą
- J. POGORSKI — Prorok nienawści

*) Fragment studium Stefani Skwarczyńskiej p.t. „Pascal i jego dzieło“ poprzedzającego nowe wydanie „Młodych“ które ukazało się nakładem Sp. Wyd. „Pax“.

STRATEGIA I POLITYKA

SPOSÓB w jaki została przeprowadzona cała druga wojna światowa wykazuje jasno jak wielka ewolucja dokonała się w sferze takich pojęć jak „strategia“, „tatyka“, „polityka“, „wojna“ i im podobne.

W Ameryce wyobrażono sobie, że siła i potęga narodu może się wyrazić jedynie za pośrednictwem siły militarnej. Kult bomby atomowej jest tego dostatecznym przykładem. Forytowanie na różne ważne stanowiska w administracji państwowej „dzielnych“ generałów jest również symptomatycznym zjawiskiem. Wyobrażono sobie, po drugiej stronie Atlantyku, że komunizm może zostać rozbity przez zwycięską wojnę. Stąd napływ wojskowych tak skwapliwie zapraszanych do udziału w rządach. Zjawisko to zasługiwało by zresztą na szersze omówienie.

Aby rozbić komunizm — a cel ten jest zupełnie zrozumiały w świetle strategii atlantyckiej — Stany Zjednoczone zapoczątkowały taką politykę, która posługuje się przede wszystkim środkami militarnymi (pod tą nazwą rozumiemy nie tylko bezpośrednią akcję wojskową, ale i zbrojenia, groźby, organizowanie dywersji i sabotażu, „zimną wojnę“).

Związek Radziecki przeciwstawia tej polityce politykę biegunowo odmienną opartą na potężnym wysiłku gospodarczym wszystkich narodów radzieckich, na solidarności międzynarodowej klasy robotniczej, politykę, która swą siłą czerpie z trafnej oceny rozwoju stosunków społecznych w państwach całego świata, a przede wszystkim z pragnienia pokoju, które ożywia przyłaczającą większość ludzi.

Tego rodzaju polityka była przez dłuższy czas niezrozumiana przez obserwatorów rządowych państw zachodnich, którzy dopatrywali się w niej jakiejś specyficznej „tatyki“. Dziś jednak coraz więcej głosów niekomunistycznych podnosi się również i w państwach „atlantyckich“, aby stwierdzić że: po pierwsze ZSRR bynajmniej nie przygotowuje się do agresywnej wojny (o czym wywiad polityczny i wojskowy USA wie zapewne od dawna) — a po drugie, „niebezpieczeństwo komunistyczne“ wzmaga się proporcjonalnie do przygo-

owań wojennych w państwach kapitalistycznych.

Przykładów ilustrujących powyższe stwierdzenie nie brak w ostatnich czasach. Choćby taki kryzys wpływów Zachodu w państwach Bliskiego i Środkowego Wschodu (Tunis, Egipt, Persja). Mimo bowiem brutalnych prób zdławienia objawów niechęci wobec Zachodu ona tylko rośnie. Kryzys taki poważnie szachuje możliwości militarystyczne krajów „atlantyckich“. Ale główny powód kryzysu leży w wymaganiach i żądaniach czysto wojskowych. Albowiem właśnie nie rządy USA i satelitów mają zamiar wojskowego „zorganizowania“ krajów Bliskiego i Środkowego Wschodu. Co nieuchronnie sprowadza ruinę gospodarczą tych krajów i wzbudza rosnącą wciąż nienawiść do rządów USA.

W krajach, których rządy przystąpiły do paktu atlantyckiego, jak również i w Stanach Zjednoczonych, ciężar zbrojeń jest tak wielki, że ekonomicznie zupełnie oficjalnie stwierdzają, iż niebezpieczeństwo całkowitego krachu gospodarczego jest o wiele bardziej poważne od wyimaginowanej przez propagandę agresji radzieckiej.

Żadnemu strategowi amerykańskiemu nie przyjdzie dziś na myśl zastanowić się nad opracowaniem jakiegos planu pokojowego współzycia obu „bloków“.

Kiedy czyta się część amerykańskiej prasy — tej poważniejszej, wolnej od wojennej hysterii, — odnosi się, mimo wszystko, pewne pocieszające wrażenie. Otóż wydaje się że poważna część opinii publicznej w U.S.A. będzie prędzej czy później musiała ona zrozumieć pewien paradoksalny a niewzruszony pewnik. Mianowicie, że ostrze t.zw. „zimnej wojny“ obraca się nieuchronnie przeciwko temu, który ją rozpoczął a wielkie zbrojenia służą nie tyle do wymarzonego, iluzorycznych podbojów, ile do dezorganizacji gospodarki narodowej krajów, które te zbrojenia przedsięwzięły.

NOTATNIK POLITYCZNY

POWAŻNE poruszenie we wszystkich stolicach zachodnich wywarła wiadomość o nalocie 500 amerykańskich samolotów na elektrownię wodną Suiho na rzece Jalu stanowiącej granicę pomiędzy Koreą a Mandżurią. Elektrownia wodna Suiho o mocy ponad 500 tysięcy Kw zaopatruje w prąd część przemysłu północnej Korei oraz część przemysłu Mandżurii południowej. Nawet Mac Arthur, który jak pamiętamy został zdymisjonowany właśnie za ujawnienie planów agresji przeciw Chinom Ludowym nie odważył się bombardować elektrowni na rzece Jalu.

Czym więc należy tłumaczyć omawiany nalot. Korespondent agencji United Press Hensley w korespondencji z Waszyngtonu pisze bez osłonek, że „nalot oznacza prawdopodobnie decyzję wpłynięcia na tok dyskusji albo wręcz zerwania przez ONZ rozmów rozejmowych w Panmundżon“. Nawet jednak ta na ogromną skalę zaprojektowana pro-

„Socjalizm“ za 5 dolarów i kompleksy trwogi

CALA parlamentarna komedia rozegrała się w amerykańskim Kongresie o podwyższenie dla czterech i pół miliona Amerykanów ubezpieczenia na starość. W Ameryce dopiero Roosevelt przejął opiekę społeczną z rąk niedoświadczonej gmin i organizacji dobroczynnych, aby uczynić ją sprawą ogólnozwiązkową. Koła konserwatywne w USA nie uznały jednak nigdy zasady państwowego ubezpieczenia przymusowego; nazywają ją „socjalistyczną“, a kierownika związkowego urzędu ubezpieczeń społecznych, Oskara Ewinga, który rozszerzyć chce swoje kompetencje na sprawy opieki zdrowotnej, określają jako „ucznia militarysty Bismarcka“. Ewing jest w Kongresie najbardziej znienawidzonym członkiem rządu; wystarczy, że jego nazwisko pojawia się po jednej stronie areny politycznej, aby od razu popchnąć większość posłów i senatorów na stronę przeciwną. Ta zła sława „różowego“ reformatora jest mistrzowską robotą świetnego speca od „public relations“ (sto sunki społeczne), którego amerykańska Izba Lekarska najęła do walki przeciw projektowi ustawy o ubezpieczeniu od chorób.

Wywalczona renta robotnicza obejmuje jednak tylko część pracujących i to nie pokrywając istotnych potrzeb życiowych emerytowanych.

Potrzeba podwyższenia minimum była tak paląca, że oszczędny rezydent ustawy budżetowej, Doughton z Południowej Karoliny, sam opracował projekt, w myśl którego wszystkie stawki zostałyby podwyższone o pięć dolarów, a przepisy o dodatkowych zarobkach byłyby interpretowane liberalniej. Również kaleski i niezłodzi do zarobkowania, choć nie otrzymywali przedtem pełnego ubezpieczenia, mieli odtąd pobierać rentę starczą. Wszystko to było by godne pochwały, gdyby równocześnie nie przywrócono starej zasady, że ustawa musi przejść większością dwóch trzecich głosów. Przeciwnicy „państwa uspołecznionego“ zyskali zatem szansę obalenia ustawy w ciągu rocznej kadencji.

Najpierw zatroszczył się jeden z posłów republikańskich o to, aby przepis o rozszerzeniu ubezpieczenia na niezdolnych do pracy dopuszczal możliwość nadużyć; w postanowieniu dodatkowym upoważniał zatem posła kierownika urzędu ubezpieczeń do poddawania petentów badaniu lekarskiemu. Wystarczyło, że wymieniono nazwę urzędu znienawidzonego Ewinga, aby na horyzoncie pojawiła się Izba Lekarska: „Jeśli ten aspirant do dyktatury otrzymał ma upoważnienie na kierowanie ludźmi przymusowo do lekarza, będzie to otwarciem na oścież drzwi dla systemu „państwa niewolnictwa“. Na krótko przed decydującym głosowaniem Izba Lekarska wystąpiła do każdego

z posłów telegram z wyjaśnieniem, że podstępem dąży się do wprowadzenia socjalizmu i podkopania „amerykańskiego stylu życia“. Przy pomocy tej metody szoku wstrząsnęli lekarze przedstawicieli mi narodu i przekonali 110 spośród nich, że dla uratowania cywilizacji zachodniej należy całą koncepcję „socjalizmu za pięć dolarów“ wraz z władzą niewolników Ewingiem wyrzucić na śmietnik. I tak ustawa nie uzyskała większości dwóch trzecich.

Przykład ten jest interesujący jako jeden z coraz liczniejszych dowodów potęgi „lobbies“ (kuiuiarów) i ich metod zastraszenia; pokazuje, jak można widmem socjalistycznego „czarnego ludu“ zastraszyć dorosłych ludzi. Ci sami, którzy zajmują w polityce kulturalnej postawę liberalną, dziwią się potem, że za poduszczeniem militarystycznych związków oczyszczają się w małych miasteczkach biblioteki z dzieł socjologicznych i że pali się już nawet te książki. Również dla tępienia podręczników, w których myśl gospodarczą „New Dealu“ traktuje się równie gruntownie, jak klasyczną teorię kapitalizmu, przywołuje się z zasady upióra socjalizmu. Nawet w Nowym Jorku, jakiś samowolny komitet obywatelski zdołał niedawno przeprowadzić — wbrew protestowi studentów, naukowców i publiczności — zwolnienie dziekana, który zapewnił na swym wydziale swobodę wypowiedzi dla komunistów. Na uwagę zasługuje wsteczny nurt, jaki zaznaczył się także wśród liberalnych intelektualistów. Widzieli oni dawniej w komunistach tylko „złe wychowania braci“ i byli skłonni uznawać przysięgłych wrogów bolszewizmu za własnych nieprzyjaciół. Dziś nawet poważni przywódcy lewicowi przyznają, że nie można bronić wszystkich, którzy ujawniają sympatię do komunistów.

Zwrot nastąpił wraz z aferą Hissa, któremu zarzucono, jakoby był na usługach Rosjan. Od czasu skazania Hissa wszyscy zwolennicy „New Dealu“, którzy nie chcieli wierzyć w jego winę, również ulegli dyskredytacji. Teraz oskarżyciel Hissa, Chambers, dołączył do ognia zakrojoną na duża miarę i sprytnie napisaną historią swego życia; równocześnie zaś dał dobitny wyraz przerażeniu z powodu niebezpieczeństwa, jakie rzekomo zagraża Ameryce. Tytuł książki „Świadek“ pomyślany jest w znaczeniu dwójakim. W pierwszym rzędzie książka — niczym pełna napięcia powieść awanturnicza — opisuje podwójne życie prowokatora w szeregach komunistycznych, Chambersa, jego nawrócenie i sensacyjny proces przeciw Hissowi. Z drugiej strony ma ona być świadectwem w sensie religijnym; naprawdę staje się dokumentem dla historii kultury, ponieważ opisuje stan umysłów, który zamienił nagłe Stany Zjednoczone w kocioł czarownic, aby strach przed komu-

nistami rozlał się z niego na cały świat.

Zdumiewające jest w tej książce — rozpowszechnionej od razu przez największy klub książki w setkach tysięcy egzemplarzy — wyznanie Chambers'a, że nie wierzy on w Amerykę i nie widzi ratunku dla swojej cywilizacji. Cytuje on Kierkegaarda, Dostojewskiego i nawet teologa Bartha, lecz w gruncie rzeczy ulega jeszcze zawsze prymitywnemu pseudo-materializmowi w myśl którego walec parowy historii niechybnie musi przetoczyć się przez glob ziemski. Chambers, zrezygnowany dziennikarz, umie bijąc się wśród łez w piersi budzić na użytek mas zgrozę i rozpacz. Wzniołe udręki duchowe i gotowe do filmowania zamachy samobójcze odsłania z całą bezwzględnością, po to tylko, aby powiedzieć, że człowiek, który chciałby ująć los we własne ręce, należy już do szatana. Dochodzący świat nie da się naprawić, a wrogiem nie przestaje być właśnie partia dążąca do reform. Chambers z dezynwolturą opowiedział się po stronie przegranej sprawy i konspiracji światowej, która wydaje mu się światową historią, każe mu co najwyżej uczynić z rozpaczliwej religii. Wyrosły bez duchowej ojczyzny i bez tradycji kulturalnej amerykański prostaczek Chambers może zakwestionowanie swej własnej egzystencji przychyć tylko jako zagładę wszelkich wartości.

Z tym wszystkim wypowiada jednak Chambers trwogę Amerykanów o przyszłość ich własnego ustroju. Czy mamy tu do czynienia z nihilizmem, czy ze strachem to obojętne. W jednym i drugim wypadku społeczne wysiłki ludzkie nad budowaniem przyszłości uznaje się za próżne; tymczasem walczy się z szatanem, choć nie wierzy się w możliwość powstrzymania jego nieuniknionego zwycięstwa. Ta sama trwoga, niewiara we własne siły i ślepa humanizacyjność — nie złagodzone humanistycznymi tradycjami Europy — wyjaśniają zarówno strach amerykańskich lekarzy przed ubezpieczeniem od chorób, obawę kongresmanów przed socjalizmem, napady militarystycznych związków na biblioteki, lęk senatora Mc Carrana przed intelektualistami i cudzoziemcami, nerwowe zalamanie się liberalnej inteligencji, procesy czarownic w Hollywood, perwersyjność sukcesów piersarskich byłych szpiegów i awantury stratosferyczne w „fannies“ (humoreskach filmowych). Jest coś narastającego w tym zjawisku: ludzie najgłębiej zatruwani szerrą wokół siebie trwogę, a przerażeni z kolei jej następstwami, muszą od nowa zarażać lekiami innych.

(Artykuł powyższy ukazał się w „Deutsche Zeitung“ piśmie wychodzącym w Niemczech Zachodnich).

Nalot na Suiho

wokacja nie spełniła swojego celu. Przewodniczący delegacji ludowej w Panmundżon stwierdził bowiem że „naloty na elektrownie wodne na Jalu nie spowodują jakiegokolwiek zmiany w stanowisku delegacji ludowej w czasie rozmów rozejmowych“. Tak więc próba rozpętania agresji w Chinach Ludowych spaliła się na panewce, tak jak spaliły się na panewce wojownicze plany Mac Arthura, w którego ślady zamierzał wstąpić obecny głównodowodzący siłami ONZ na Korei gen. Mac Clark. Najpikantniejszą stroną prowokacji jest fakt, że nikt z amerykańskich sojuszników na Korei nie był poinformowany o decyzji Mac Clarka. Wiadomość o wypadkach na rzece Jalu wywołała prawdziwą burzę w Izbie Gmin Brytyjczycy zawrzeli dowiadując się, że nawet ich minister obrony marszałek Alexander, który właśnie bawił w podróży inspekcyjnej na Korei nie o planowanym nalocie nie wiedział. Churchill i Eden przyparci

do muru przez posłów zarówno konserwatywnych jak i labourzystowskich musieli przyznać, że Amerykanie nie konsultowali uprzednio rządu brytyjskiego. Przywódcą opozycji labourzystowskiej Attlee, który jest zarazem przywódcą najbardziej prawego skrzydła Labour Party, basującego Churchillowi — tym razem wręcz odważył się zakwestionować słuszność decyzji amerykańskiego dowództwa.

Cała prasa brytyjska wyraziła obawę, że prowokacyjny nalot może doprowadzić do rozszerzenia wojny koreańskiej. Najbardziej proamerykańsko nastawione dzienniki zamieszczyły bardzo krytyczne komentarze, w których całkiem bezpośrednio atakują akcję amerykańską nazywając ją samowolną. Oczywiście nie powinna nas zwieść ani samokrytyka Churchilla i Edena ani utyskiwania „Timesa“.

Nie dyktuje ich bynajmniej jakaś szczera i konsekwentna chęć urato-

wania pokoju światowego. To co tłumaczy postawę polityków Wielkiej Brytanii to ich egoizm, brak zrozumienia współczesnej problematyki społecznej, niemożność ogarnięcia szerszych widnokąmów polityki światowej a przede wszystkim lęk, który dyktuje wszystkie ich kroki. Lęk nie bywa dobrym doradcą a w tym wypadku prowadzi on do zupełnego pozbawienia Wielkiej Brytanii jej samodzielnosci na rzecz USA.

Natomiast faktyczni kierownicy obozu zachodniego każdym posunięciem ujawniają swe agresywne plany. Nalot na Suiho jest nowym tego dowodem. Otwiera on oczy nawet reakcyjnym odłamom społeczeństw zachodnich na prawdziwe zamiary polityków amerykańskich. Wobec mierzających się aktów najbardziej brutalnej agresji rzekomo obronny charakter polityki amerykańskiej jest tak jaskrawym i cynicznym kłamstwem, że nikogo już nie uda się o tym przekonać.

Państwowa Szkoła Muzyczna Nr. 4 im. Kurpińskiego w Warszawie, przyjmuje zapisy na rok szkolny 1952/53 do działu dziecięcego na fortepian i skrzypce do klas od I — VII (do klasy I przyjmuje się dzieci od 7 lat) Oddział Mokotów ul. Woronicza 8 w poniedziałki, środy, piątki w godz. od 15 — 19 oraz do działu dziecięcego na fortepian i skrzypce do klas od II — VII (do klasy II przyjmuje się dzieci od 8 lat).

Oddział Zolibórz, ul. Krechowicka 6 zapisy we wtorki, czwartki, soboty w godz. 15 — 19 do dnia 23.VI.1952 r. i dodatkowo od 24 — 31.VIII.52 r.

Zygmunt LICHNIAK

ZŁOTE GODY WIELKIEJ PISARKI

(W pięćdziesięciolecie twórczości Zofii Nałkowskiej)



W UBIEGŁYM miesiącu obchodziliśmy uroczyste jubileusz Zofii Nałkowskiej. Odświętne zebranie w Związku Literatów Polskich, dekoracja Jubilatki orderem Polski Odrodzonej, przemówienie pochwalno-wspomnieniowe, recytowanie wybranych fragmentów z bogatej twórczości, żartobliwo-dyskretna mowa pisarki, kwiaty na stole, upominki, gratulacje i życzenia — wszystko powiązane urokiem muzyki Chopina i pogodnym, szczerym uśmiechem zebranych, uśmiechem wyrażającym sympatię, przyjaźń, podziw i wdzięczność.

Potem — artykuły w pismach, szkice analiz, zmierzających ku rocznicowej syntezie, fotografie wielkiej pisarki, listy, stenogramy przemówień, przedruki fragmentów z pism, na półkach księgarskich nowe okładki wznowione — wszystko jak gdyby pochylone w pokłonie szczeremu szacunku, zasłużonemu wielką pracą twórczą, pracą która w trudzie ciągłej przemiany, ciągłego doskonalenia rzeźmiła pisarskiego i pogłębiania świadomości pisarskiej rodzi owoce coraz piękniejsze pełnią dojrzałości.

Niechaj i słowa tego rocznicowego artykułu będą pochyleniem czoła przed wielką zasługą, niech będą skrótownym wyrazem wdzięczności za dzieło piękne i mądre, które Zofię Nałkowską stawia wśród najwybitniejszych postaci naszej współczesnej literatury, a nam dawało i daje chwile wzruszeń radosnych, twórczych, choć czasami cierpkich, jak bolesne poznanie.

Odkładając na później rozpoczętą w notatkach, lekturach i przemysłniach pracę o pisarstwie Nałkowskiej, warto na marginesie jubileuszowych wspomnień, przemówień i analiz zanotować kilka uwag, których nie powinno zabraknąć w sumowaniu pięćdziesięcioletniego okresu twórczości wielkiej pisarki.

★

KĄŻDEGO, kto spogląda na całość lotyczasowych dokonań Zofii Nałkowskiej, urzeka, zdumiewa i zastanawia nawet z zewnątrz, bez wnikania w szczegółowe analizy widoczna — rzetelność w traktowaniu pięknego rzemiosła pisarskiego, wielka pracowitość i pasja twórcza, mnożąca jej dzieła w długi szereg tomów i tytułów.

Od czasu, gdy siedemnastoletnia panienka zaczęła publikować swe

wiersze w „Głosie“, „Tygodniku Ilustrowanym“, czy „Chimerze“, od czasu dziewczęcych liryków „Bez życia“, „Niewolnica lili“ czy „W ogrodzie“ poprzez wielki szmat czasu obejmującego półwiecze uwikłane w dwie wojny, pióro i myśl pisarki nie spoczywały chyba nigdy, w ciągłej, żmudnej pracy narastał wielki dorobek, potężniała siła talentu, rozszerzały się horyzonty, krzepła świadomość powołania do spraw najpiękniejszych i najtrudniejszych.

„Kobiety“ (1906), „Książę“ (1907), „Koteczka“, „Rówieśnice“ (1909), „Narcyza“ (1911), „Węże i róże“ (1914), „Moje zwierzęta“ (1916), „Tajemnica krwi“ (1917). „Hrabia Emil“ (1920), „Charaktery“ (1922)... Tomy powieści i opowiadań jeden po drugim wkraczały na półki domów polskich. Wędrowały za granicę. Tłumaczono je na niemiecki, rosyjski, francuski, angielski. Rzeczy stają się coraz bardziej godne tłumaczeń. „Romans Teresy Hennert“ (1923), „Dom nad łąkami“ (1925), „Choucas“ (1927), „Niedobra miłość“ (1928), „Granica“ (1935), „Niecierpliwi“...

Cierpliwie i skrupulatnie obliczając wysiłek pisarski (a w jakich roboczo-godzinach odmierzyć go i zobiektywizować?), dodając powojenne „Medaliony“ i „Węzły życia“ i pracę o ojcu — nie możemy nie dostrzec w tym ciągu jednego procesu,

jednej cechy pisarskiej: stałej potrzeby świadczenia swojej prawdy wobec świata, rzetelnie pojmowanej konieczności stałej, czujnej walki o zapisywanie świata w narastających księgach.

A przecież to jeszcze nie wszystko. Jeszcze w trudne arkana dramatu, w trudne tajemnice języka sceny stara się wniknąć pisarka: „Dom kobiet“ (1930), „Dzień jego powrotu“ (1931)...

A i to nie zamykało jeszcze realizacji wszystkich potrzeb. Sięgnęła Nałkowska i po pióro publicystki. Warto wspomnieć „Myśli o Kordjanie“, „Moralność Przybyszewskiego“, „Moralność Selmy Lagerloeff“, rozważania nad „Krystyną córką Lawransa“, „Klejnotami“ Perzyńskiego czy miłością w „Lalce“...

Oczywiście, zasługi pisarskiej nie oblicza się według ilości drukarskich arkuszy, talentu nie mierzy się mnogością zapisanych stron a wielkością dokonań nie określa szerokość miejsca zajmowanego na półce bibliotecznej. Jednak w tym wypadku przypomnienie mnogości tytułów, podkreślenie bujności i żywości ciągłego narastania dorobku prozatorskiego Zofii Nałkowskiej jest jednocześnie podkreśleniem pięknego oddania dla literatury, wielkiej czujności wobec świata, rzetelnej walki o jego prawdę i prawdę własną, walki w której prawie nigdy nie spoczęło pióro...

★

Pióro i myśl. Twórcza praca myśli, uskrzydłonej wyobraźnią, wspartej talentem, zubożonej wielkim darem realistycznej obserwacji i psychologicznej wnikliwości — to cecha, która twórczości Zofii Nałkowskiej nadaje jej właściwą rangę.

Autorka „Medalionów“ nie tylko widzi i opisuje świat, ale myśli o świecie, wnika w jego mechanizm, usiłuje ukazać sprężynę w nim działającą, przeniknąć prawa, wyjaśniające działania mechanizmu.

Pasja pisarska Nałkowskiej jest pasją nie tylko malarską, jest pasją poznawczą. Poznawcza wartość owo- ców tej pasji wzrasta wraz z sumą doświadczeń i sublimacji samej pasji.

Początkowo były „Koteczki“, które w niemal młodopolszczyznianych zachłystkach rozwodziły się mętłowo i mgliście o problemach, które pozornie miały związek z filozofią świata, w istocie zaś były raczej literacką metaforą poetyckiej wiedzy o fizjologii kobiety. Później już Ziembiewicz ukazywał poczuli pozomnie antagonistyczne napięcia i granice między jednostką a społeczeństwem, a czas okrutnego wojną dojrzewania

przyniósł socjologiczną próbę rozszyfrowania „Węzłów życia“ i ryte w bólu modnej obiektywizacji „Medaliony“.

Rozwój sublimacji pasji poznawczej i udoskonalenie sposobów jej realizowania dokonywał się u Nałkowskiej powoli, lecz konsekwentnie i zwycięsko. Początkowo wystarczał subiektywizm podniesiony do rangi zasady metodologicznej. W „Motywach“, noweli ze zbioru „Tajemnice krwi“, autorka pisała:

„Jestem dla siebie jedynym instrumentem świata, jedynym organem zachwytu i miłości. Stąd najważniejszą sprawą staje się dla mnie dusza moja i poprzez nią każda dusza człowieka stała się dla mnie jakby gwiazdą, w której znajdują przecięcia wszystkie dające się pomyśleć moce ziemi i nieba“.

Groza wojny i degrenolada mieszczaństwa i burżuazji okresu międzywojennego, uwyraźniająca profil konfliktów społecznych nauczyła pisarkę innej miary. Im głębiej w czas, tym głębiej wnika w człowieka, odnajdując w nim społeczną miarę jego spraw. Coraz dokładniej rozumie Nałkowska konieczność odwoływania się do innych instrumentów poznawczych, coraz większe w niej zrozumienie socjologicznych praw rządzących społecznością ludzką wyjaśniających wiele z indywidualnych losów ludzkich.

Poprzez „Romans Teresy Hennert“, „Granice“, „Niecierpliwych“ wiedzie droga ku „Węzłom życia“, „Medalionom“.

Ostatnie prace krytyków marksistowskich (Macha w „Nowej Kulturze“, Matuszewskiego w „Trybunie Ludu“, Wilhelmiego we „Wsi“) słusznie podkreślają ewolucję pisarki od indywidualistycznego buntu mieszczańskiego poprzez naturalistyczny niemal opis pesymistycznej obserwacji życia, do realistycznej postawy chwytania istotnych związków zależności między jednostką a obiektywnymi prawami historii i twórczymi siłami działających w niej ideologii postępowych.

Ta krystalizacja nigdy by się dokonała nie mogła bez współdziałania rzetelnej intelektualnej pasji poznawczej. Bez wielkiej pasji poznawczej nie ma wielkiej sztuki. Tej pasji zawdzięcza Nałkowska siłę i piękno swojego dzieła.

NIE ma wielkiej sztuki bez głębokiego umiłowania człowieka. Ta miłość nadała pasji poznawczej autorki „Medalionów“ walor decydujący o jej humanistycznej wartości.

Nałkowska ukochoła człowiecze sprawy na tyle, że nigdy nie skazała

się na uproszczenia, nie pozwoliła, by słowo „człowiek“ brzmiało pusto. Nie znaczy to jednak, by słowo to brzmiało u niej — jak u Gorkiego — dumnie. Uwarunkowana okresem historycznym, środowiskiem i niezbyt sprecyzowaną postawą filozoficzno-swiatopoglądową musiała zgodzić się z tym, że słowo „człowiek“ pobrzmięwa w jej utworach fatalistycznie. Początkowo tłumaczy się to tylko tajemnicami krwi, później już czymś więcej, bo niedopowiedzianym do końca i nierozwikłanym bez reszty sztyrem powikłań psychologiczno-społecznych.

Humanizm Nałkowskiej jest humanizmem gorzkim. Gorycz tego humanizmu nie ma jednak tylko cierpkiego posmaku sceptycyzmu czy apriorycznej nieufności pesymistów. Jest w dużym stopniu goryczą mądrości.

Po wyzwoleniu się z fatalistycznych koncepcji losu ludzkiego, po głębszym wejrzeniu w strukturę psychologiczną i socjologiczną tych losów mądra gorycz humanizmu Nałkowskiej za motto najgłębszej w Polsce książki podyktowała słowa: „Ludzie ludziom zgotowali ten los“. Jest to już świadomość współodpowiedzialności, jest to — nie przetłumaczone jeszcze na język pozytywów — zrozumienie wzajemnej zależności jednych od drugich, zrozumienie, że wyzwolenie człowieka zależy od zbiorowego wysiłku ludzi.

Nie doszła by Nałkowska do tego, gdyby nie jej bliskość wobec spraw ludzkich, bliskość ciągle rosnąca, która ukazała jej może nawet sprawy dotychczas przez nią niedostrzegane.

WYMIAROWI tych spraw odpowiadać musi dojrzały wymiar słowa świadomego swej artystycznej godności i swej funkcji społecznej.

Nałkowska o tę godność słowa walczyła równie konsekwentnie i równie zwycięsko jak o realizowanie swoich pasji poznawczych i wyrażanie swojej humanistycznej, gorzkiej miłości do człowieka. Procesy te zbiegały się u niej w jedno, warunkowały się wzajemnie prawem wewnętrznego zależności, wspierały się we wspólnym dążeniu do pełni.

Obdarzona ogromnym talentem obserwatorskim, któremu tak wielką rolę w jej twórczości wyznaczał W. Pietrzak, władająca językiem pisarskim o rzadkiej sile, precyzji, opanowaniu i plastyce, wierna koniecznej w sztuce zasadzie obiektywizacji — sięgnęła Nałkowska po zaszczyt w prozie polskiej najwyższy i najtrudniejszy: stała się pisarką głęboką i prostą, wnikliwą i dla wszystkich czytelną, zawsze czujnie respektującą wszelkie prawa piękna, spełniającą trudne nakazy realizmu, pisarką, której godność artystyczna pozwalała zająć miejsce wśród najwybitniejszych twórców powieści polskiej.

TWÓRCZOŚĆ tej pisarki prowadzi do badań szczegółowych, kusi do rozleglejszych i wnikliwszych prac krytycznych. Kartkując notatki, przeglądając zapiski i plan projektowanej rozprawki trudno nie powtórzyć w zakończeniu tych uwag zastrzeżeń wstępnych: artykuł ten nie jest publikacją krytyczną, nie jest oceną historyczno-literacką, czy „bilansem“, lub „syntezą“. Taką pracę przyjdzie podjąć później. Artykuł powyższy jest tylko szkicem uwag z okazji radosnego jubileuszu, jest tylko pochyleniem głowy przed wielkim dziełem wielkiej pisarki, której życzyć chcemy ciągłego zbiegania nas nowymi dziełami dojrzającej sztuki, pięknego wpisywania człowieka w prawdę jego losu.

Zygmunt Lichniak

JUBILEUSZOWY WIECZÓR W Z.L.P.

4 CZERWCA b. r., Związek Literatów obchodził nie- zwykłą uroczystość: pięćdziesięciolecie twórczości świę- nej pisarki, Zofii Nałkowskiej.

Za debiut autorki „Niecierpliwych“ przywykło się uważać jej poezje publikowane w „Chimerze“, w rzeczywistości jednak przypada on jeszcze wcześniej — jak opowiedziała Jubilatka w wywiadzie prasowym — pierwszy jej wiersz drukował „Przegląd Tygodniowy“ kiedy miała lat... niecałe dwanaście (urodziła się w roku 1885).

Od czasów najpełniejszego rozkwitu hasła „sztuki dla sztuki“, po okres najbardziej współczesny, pisze Nałkowska swe utwory epickie i dramatyczne, umiając zawsze przystosować się twórczo do panujących prawd literackich, zachowując świeżość, ostra, dojrza- łość wyrazu artystycznego. Zawdzięcza to — można chyba tak twierdzić — badawczemu raczej niż emocyjnemu stosunkowi do opisywanych zdarzeń, ludzi i przedmiotów.

Jubileusz — to brzmiał niemal groźnie. Nic podobnego, nie tym razem! Uroczystość pozbawiona była wszelkich znamion oficjalności. Przez cały wieczór w sali warszawskiego ZLP jeden tylko krótki moment zaznaczył się słuszną powagą: gdy Minister Kultury

i Sztuki — Dybowski w imieniu Prezydenta Rzeczy- pospolitej udekorował Nałkowską Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta. — Ale o całym nastroju wspomnianego wieczoru zdecydował Jarosław Iwaszkiewicz swym pięknym przemówie- niem, pełnym serdecznych osobistych wspomnień związanych z twórczością Jubilatki.

Dopełniła uroczystości część artystyczna: muzyka Chopina oraz lektura fragmentów prozy Nałkowskiej. Wypadło raz jeszcze uświadomić sobie, że do znakomitego tekstu literackiego wracać można i należy wielokroć razy, co zaś do „Charakterów“ — te czyta się i odczytuje z rosnącą satysfakcją.

Krótkie, pełne werwy i dowcipu przemówienie Nałkowskiej pozwala nadto cieszyć się, iż autorka „Węzłów życia“ (pracująca właśnie nad wydaniem drugiego ich tomu) potrafi — za jedną ze swych bohaterek — wierzyć we wszystko prócz własnej starości. Toteż wolno się z całą radością spodziewać dalszych książek Nałkowskiej, wolno też zapune oczekiwania kolejnych wznowień jej dawniejszych, niezmiennie poczytnych powieści i nowel.

Życzmy tego Jej i sobie z całego serca!

JAK WYGLĄDAŁ GRÓB ŚW. PIOTRA?

UBIEGŁEGO roku wielkim wydarzeniem dla świata chrześcijańskiego stało się urzędowe ogłoszenie przez Stolicę Apostolską faktu odnalezienia Grobu św. Piotra. O grobie tym wiedziano dotychczas tylko tyle, że znajduje się pod głównym ołtarzem Bazyliki św. Piotra, więc w miejscu dość dokładnie oznaczonym. Jednak trudności związane z techniką budowy Bazyliki do niedawna nie do pokonania, uniemożliwiały dostęp do grobu, a zatem i

obraz tego, jak wyglądało wzgórze watykańskie w czasie, w którym się umiejscowiła śmierć św. Piotra, czyli w latach 64 — 68 p. Chr. Przestrzeń cała gdzie wznosi się teraz Bazylika była zwykłą wiejską równiną, położoną na pochyłości wznoszącej się lekko ze wschodu na zachód, a bardziej stromo z południa na północ. W pobliżu znajdował się cyrk Kaliguli, wstawiony męczeństwem chrześcijan w r. 64. Zapewne, były tam oprócz jakichś skromnych zabudowań

tracji grobów w jednym miejscu do wodu, iż istniał wówczas kult umęczonego Apostoła, w ten sposób właśnie wyrażany. Ślady tych grobów odnaleziono na polu oznaczonym na planie literą „P”.

Liber Pontificalis w życiorysie papieża Anakleta (84 — 95 po Chr.) zawiera słynny ustęp. Brzmi on: memoriam beati Petri construxit et composuit, ubi episcopi reconderentur, ubi et ipse sepultus est. (Zbudował Grobowiec św. Piotra tam gdzie chowano biskupów i gdzie on sam został pochowany). Owe odnalezione w pobliżu św. Piotra mogiły nie wyglądają bynajmniej na groby pierwszych papieży. Są nader skromne, nie odznaczają się niczym. Trzy, co najmniej z nich, pochodzą sprzed drugiej połowy II wieku. W tym czasie cała ta część watykańskiego wzgórza zaczęła pokrywać się grobowcami, ustawionymi w dwa szeregi, od wschodu do zachodu. Są to małe kwatery, po kilka metrów kwadratowych. Datę ich pochodzenia poznaje się po sposobie budowania murów i po napisach. Pierwszy grobowiec, który powstał na tym terenie (oznaczony na planie nr. 1 literą „O”), należał do rodziny noszącej nazwisko Mattucci. Jest on późniejszy niż rok 123, gdyż cegła znaczone z tego czasu została użyta do budowy. Następnie wybudowano grobowiec „S”, który graniczy z nim od strony zachodniej. Grobowiec ten został w znacznej części zburzony w r. 1626, gdy wybudowano na nim fundamenty filaru, na którym opiera się od południo-wschodu kopuła Berniniego. Dlatego bardzo trudno jest oznaczyć jego wiek, można tylko powiedzieć, że wydaje się znacznie późniejszy niż grobowiec Mattuccich.

Minęło znowu trochę czasu i postawiono podwójny grobowiec „R” i „R”. Pochyłość z północy na południe była tak znaczna, że plac „R” miał posadzkę o blisko metr wyżej niż „R”. I ten grobowiec został prawie całkowicie zburzony: „R” przez tych, którzy wstawiali filar południowo zachodni kopuły Berniniego, „R” przez Della Porta, kiedy wybudował kaplicę Clementina di San Pietro.

Na „R” znajdował się kwadratowy plac, znowu o blisko metr wyżej. Jest on na planie oznaczony literą „Q”. Droga do „R” i do „Q” była tak stroma, że pomyślano o zrobieniu schodów. Dlatego zbudowano od strony wschodniej gruby mur (na planie oznaczony literą „m”) stanowiący przedłużenie zachodniej krawędzi grobu „S”. Służył on jako oparcie dla schodów, wbudowanych w ten sposób między tym murem a grobowcem „R”.

Wtedy zapewne przystąpiono również do uregulowania placu „Q”, robiąc z niego rodzaj omurowanej kwatery grobowej. Jak zazwyczaj w salach mauzoleów, groby były na ziemi przy murze, zaś nad nimi wykonane były w murze nisze, w których umieszczono urny z popiołami innych zmarłych. W kwaterze „Q” odnaleziono ślady przynajmniej jednej takiej niszy.

KWATERA „Q” miała południowy mur wspólny z grobowcem „R”, tak jak on nie była kryta, najwyższej posiadała dla ochrony grobów mały daszek wzdłuż murów. Woda deszczowa spływała po grubej mozaikowej posadzce do ścieku, umieszczonego pod schodami i wzdłuż drogi w dół. Na kilku ceglach, którymi obmurowany jest ten ściek, wypalono rodzaj pieczęci z nazwiskami Aurelio Cesare i Faustina Augusta. Marek Aureliusz, o którego tu chodzi, nosił tytuł Cezara od r. 140 — 160, a jego żona Faustyna była Augustą od 147 — 175, stąd wniosek, że roboty te przeprowadzono w okresie między 147 a 160 rokiem po nar. Chr.

Ze względu właśnie na uregulowanie kwatery „Q” postawiono mur

oznaczony na planie „r”, który był do pewnego stopnia przedłużeniem muru „m”. Tylko do pewnego stopnia, gdyż jak widać z figury 1, był on trochę bardziej skierowany na zachód od osi muru „m”. Otóż linia styeczna tych dwóch murów „m” i „r” wypadła przy samej granicy miejsca, gdzie ustalono, że znajdował się grób Apostoła. Zarówno skoncentrowanie wokół tego miejsca mogił wczesnochrześcijańskich, jak i następnie uszanowanie tego miejsca w okresie regulacji terenu, wreszcie nawet specjalny kształt muru „r” dowodzą, że tam właśnie znajdowała się ta specjalnie czczona przez chrześcijan mogiła. Jeśli grób Apostoła miał kształt kwadratowej urny z popiołami, to znajdował się on u styku obu murów, o ile zaś był dłuższy, to znaczy normalnej długości dla złożenia zwłok człowieka dorosłego, wtedy mur przecinał go w poprzek. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, który tu zachodził z tych dwóch wypadków, gdyż co z grobu do naszych czasów przetrwało nie daje na to pytanie odpowiedzi.

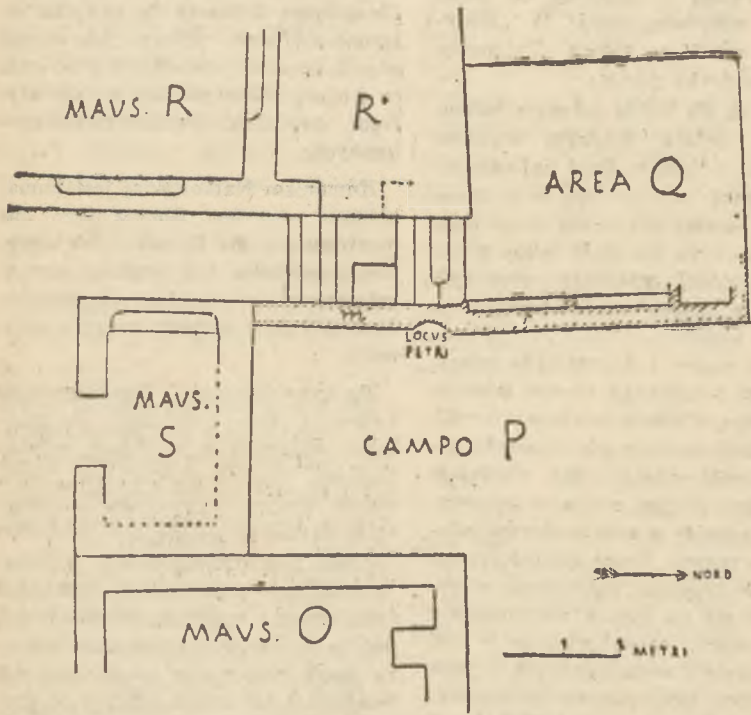
Jest natomiast pewne, że grób św. Piotra nie był w tym czasie opuszczony, przeciwnie, był przedmiotem kultu ze strony wiernych. Zamiar wybudowania schodów i uregulowania kwatery „Q” musiał wywołać poruszenie i obawy profanacji zwłok otaczanych czcią. Jest prawdopodobne, że umowa, która nastąpiła z właścicielami kwatery „R” i „Q” była dobrowolną i że przeprowadzenie jej drogą sądową nie było by jeszcze w tym czasie możliwe, z powodu niejasnej sytuacji prawnej. Ale właśnie niebezpieczeństwo, w którym znalazł się grobowiec, łącznie z uregulowaniem całego tego stoku, tak że swobodny dostęp do grobu pozostawał już tylko od strony północnej, musiały być bodźcem do zajęcia się grobem, gdyż prace przy uregulowaniu kwatery „Q”, budowa muru „m” i „r”, oraz prace koło grobu św. Piotra zostały jednocześnie wykonane.

Tam gdzie mur „r” stykał się z murem „m” (patrz fig. 1) zrobiono niezupełnie regularną niszę głębokości tylko 21 cm., lecz szerokości 72, a wysokości 1,40 m, zaczynającą się nieco powyżej poziomu nawierzchni. Sam grobowiec zaś znajdował się

rokości. Płyta była od zachodu wpuszczona w mur, od wschodu zaś wsparta na dwóch korynckich, smukłych kolumnkach, których podstawy spoczywały na progu z trawertynu. Przestrzeń między kolumnami a murem wynosiła 74 cm., między jedną kolumną a drugą 1.20 m. Nisza była prawdopodobnie pomalowana na czerwono, jak reszta muru, lub ozdobiona malowidłem. Budowa ta była za niska, aby można było wejść wyprostowanym, należy przypuszczać, że wchodziło na kłęczkach. Była prawdopodobnie zamknięta kratą. Istnieją ślady miejsca, w którym znajdowały się zawiasy, ale może to być również dodatek późniejszy. Wejście mogło być tylko od północy. Chrześcijanie odwiedzający grób św. Piotra nie szli drogą główną, lecz boczną, prawdopodobnie zwykłą ścieżką. Mur, o który oparty jest ten budynek był prawdopodobnie zaopatrzoney daszkiem. Świadczy o tym jego wysokość (2 m. 50), oraz świeżość zachowanych na nim śladów czerwonej farby.

Nad dachem z trawertynu była druga głębsza nisza. Mogła ona służyć do postawienia urny, wazonu. Zdarzało się to często. W takich niszach stawiano także popiersie zmarłej osoby.

DLA ogółu chrześcijan odnalezienie grobu św. Piotra jest wielkim wydarzeniem. Kładzie ono kres wielowiekowemu sporom i wątpliwościom, gdyż jak wspomnieliśmy poddawano w wątpliwość nawet jego męczeńską śmierć w Rzymie. Wszystkie te wątpliwości obecnie ustają. Odkrycie ujawniło szczegóły o systematyce, które potwierdzają tradycje chrześcijańskie. Na tę systematykę powoływał się niejaki Gajus, żyjący w końcu II-go wieku, za pontyfikatu Zefiryna. (198 — 217). Uchodzi on za obrońcę prawdziwego punktu widzenia przed szerzycielami schizmy montanistów. Aby dowieść apostołskości ciągłości doktryny katolickiej wobec nowatorskich poglądów, pisał on do jednego z montanistów, Proklusza: „Lecz ja mogę pokazać ci trofea apostołów. Gdyż, czy pójdziesz do Watykanu, czy wzdłuż drogi do Ostii, znajdziesz trofea tych, którzy założyli Kościół rzymski”.



Plan mauzoleów położonych wokół grobu św. Piotra, oznaczonych na szkicu jako „locus Peteri”.

udowodnienie jego istnienia, jako faktu historycznie pewnego.

Okoliczność ta stała się powodem powstania całego szeregu teorii opartych na domniemaniach.

Mysł o wykonaniu rozstrzygających poszukiwań powstała w umyśle obecnego Papieża, zapewne w czasie kiedy był Sekretarzem Stanu Piusa XI.

Prace wykopaliskowe przeprowadzone w najtrudniejszych warunkach technicznych trwały około 10 lat, w okresie 1940 — 1950. Kierownictwo robotami należało do t.zw. Św. Kongregacji Wielebnych Budynków Św. Piotra (la Sancta Congregazione della Reverenda Fabbrica di San Pietro), pod kierownictwem pełnego wiedzy i doświadczenia Kolegium Architektów tejże instytucji. Prace przeprowadzane były w tajemnicy i bardzo niewielka ilość osób została dopuszczona do śledzenia ich przebiegu. Nawet po zakończeniu robót, ze względu na obowiązującą w tak ważnej sprawie ostrożność, upłynął czas dłuższy, zanim po dokonaniu wszystkich formalności, nastąpiło uroczyste ogłoszenie wyników poszukiwań.

Toteż chociaż wiadomo już było od dawna o prowadzeniu tych robót i o ich pomyślnym zakończeniu w r. 1950, szczegóły o odnalezieniu Grobu, oraz wszelkie stąd wypływające korzyści dla badań nad dziejami wczesnego Kościoła, zachowały jeszcze dla świata chrześcijańskiego całą świeżość i aktualność.

Aby uzmysłowić sobie charakter tych poszukiwań trzeba mieć pewien

wiejskich, charakterystyczne dla owych czasów grobowce z trawertynu, którymi obsypana była cała najbliższa okolica Rzymu, gdyż chowanie zmarłych w obrębie miasta było niedozwolone.

Był to prawdopodobnie ager publicus, teren publiczny, czyli w praktyce wspólny i niczyj. Dla postawienia jakiegos budynku trzeba było uzyskać formalne zezwolenie państwa, lecz pochowanie czyichś zwłok bez jakiegokolwiek formalności nie musiało być zbyt trudne.

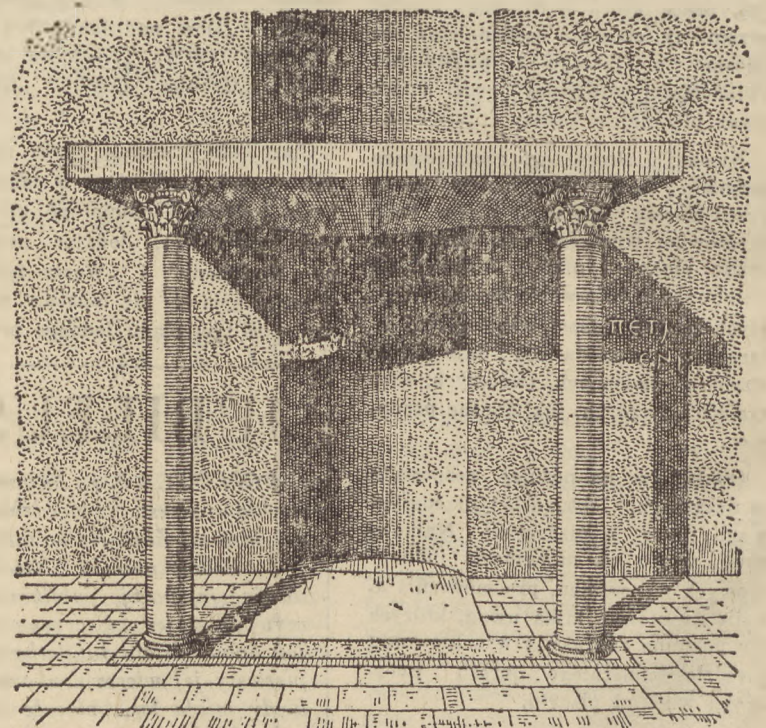
Tak zatem wyglądać musiała ta okolica, kiedy został ukrzyżowany św. Piotr, a ukrzyżowania odbywały się zazwyczaj na terenach publicznych. Istnieje co prawda tradycja o pochowaniu go wraz ze św. Pawłem na Via Appia, ale krytycy zgodnie uważają zastosowanie powszechnej reguły chowania koło miejsca kaźni za prawdopodobniejsze.

Trudno wiedzieć jak wyglądał ów grób pierwotny, należy jednak przypuszczać, że nie mogło być na nim żadnego pomniczka, ani nawet napisu, gdyż skazani na śmierć nie mieli prawa do grobu.

Ciała ich, po wystawieniu na widok publiczny, były palone, a prochy wrzucane do Tybru. Zdarzało się jednak, że albo ktoś wpływowo formalnie otrzymywał prawo pochowania zwłok (jak to zrobił w Jerozolimie Józef z Arymatei), albo że, gdy chodziło o mniej ważnego skazańca, udawało się zwłoki odzyskać nielegalnie, „na lewo” i tak mogło być z Księciem Apostołów.

Są to więc wszystko domysły i nie ma żadnych śladów zainteresowania późniejszych pokoleń chrześcijan grobem tak wielkiego Męczennika. Może się to wydawać dziwne z naszego dzisiejszego punktu widzenia. Jednak w podobny sposób zaginęły ślady wielu mogił ludzi, którzy odegrali wybitną rolę w pierwszych ośrodkach chrześcijańskich. I jeżeli zostały następnie odnalezione, to tylko dzięki wielkiemu nakładowi wysiłków znacznie późniejszych pokoleń.

NA omawianym wzgórzu watykańskim odnaleziono jednak sporo wczesnych mogił chrześcijańskich i wolno się depatrywać w tej koncen-



Tak wyglądał z zewnątrz grób św. Piotra według odkrytych wykopalisk.

mniej więcej 1 1/2 m pod ziemią. Nie ma wątpliwości, że niszę wykonano jednocześnie z budową muru, a nie później.

Albo w czasie budowy, albo później dobudowano do tej niszy skromną ale zgrabną architektoniczną konstrukcję (patrz fig. 2). Ponad niszą umieszczono grubą płytę z trawertynu — grubości 11 cm, długości 1.73 m, a mającą powyżej metra sze-

Ustęp ten stał się powodem rzekł atramentu z piór archeologów i historyków pierwotnego chrześcijaństwa. Nikt jednak nie przypuszczał, że dowody prawdy znajdują się tak blisko. Jeszcze raz rzeczywistość przewyższyła wyobraźnię.

Nikt już zakwestionować nie może drogiego sercem chrześcijan faktu, że Rzym jest istotnie stolicą chrześcijaństwa.

Opr. K. K-K.

Dwanna

redakcja „Dziś i Jutro”
poszukuje

przedwojennej powieści
Tadeusza Brezy p.t.

„ADAM GRYWALD”

Anna WISŁOCKA

BIBLIOTEKA NARODOWA

Najmłodszą nominalnie z pokrewnych sobie bibliotek europejskich, choć tradycjami swymi najstarsza, Biblioteka Narodowa przechodziła ciężkie i trudne koleje nieodłącznie związane z życiem i losami kraju.

Już w pierwszej połowie XVIII stulecia rodzi się w Polsce myśl stworzenia biblioteki narodowej. Rzuci ją i kładzie zręby pod jej realizację wielki zbieracz i miłośnik książki biskup kijowski Józef Andrzej Załuski. Zarówno on jak i bracia jego, Andrzej Stanisław biskup krakowski i Marcin, przez długie lata z nieustępnym zapałem i niezrównaną troskliwością gromadzą, chronią od zniszczenia i zraty, cenne rękopisy i druki. Obok namiętności bibliofilskiej kieruje nimi chęć zachowania skarbów kultury narodowej i rys znamienne wyprzedzający współczesną w epokę, chęć udostępnienia ich i zbliżenia do ówczesnego ogółu czytelników. W roku 1732, gdy w Europie nie istniała jeszcze żadna wielka biblioteka o charakterze narodowym (we Francji dopiero Wielka Rewolucja miała doprowadzić do jej założenia) biskup Józef Załuski projektuje otwarcenie swych zbiorów, wówczas składających się głównie z dzieł historycznych i prawnych, dla użytku publicznego. Na przeszło dziesięć lat przed nami przyczynił się do zawiązania się Związku Bibliotekarzy, który w 1741 roku, w Warszawie, przy ulicy Krackiej, otworzył swoją bibliotekę, do której przylączyła się biblioteka jego braci. Zbiory Załuskich w chwili tej obejmują łącznie około 300.000 druków i 10.000 rękopisów — liczba jak na owe czasy ogromna. Biskup-bibliofil bezustannie czuwał nad swymi zbiorami, porządkuje je, opisuje ciekawsze pozycje, zaopatruje je notami bibliograficznymi o autorze i dziele, prowadzi katalogi działowe, indeksy alfabetyczne, sporządza katalog „usualium” — książek najczęściej czytanych. O rozmianach tej pracy może dać pewne pojęcie fakt, że katalogi jego rozrosły się do 15 grubych woluminów.

Jak ogromne znaczenie dla kultury narodowej i życia umysłowego kraju ma biblioteka Załuskich — nie warto nawet pisać. Przypomnę tylko, że już w pierwszym okresie jej istnienia korzystał z niej Stanisław Konarski przy pracy nad swoimi „Volumina Legum”, Kasper Niesiecki nad „Koroną”.

W roku 1774 po śmierci biskupa kijowskiego i kasacie Zakonu Jezuitów, którym jeszcze za życia powierzył on opiekę nad swą biblioteką, król Stanisław August, żywo troszcząc się o tak ważną dla kultury i nauki polskiej instytucję, oficjalnym aktem przekazuje bibliotekę opiece Komisji Edukacyjnej — jako własność narodową. Ważność sprawy docenia sam, który w cztery lata później uchwała przesyłanie jej przez wydawców po jednym egzemplarzu wszystkich wydawanych druków.

Rok 1795 — trzeciego rozbioru — niweczył byt państwowy Polski kładzie też kres istnieniu biblioteki. Zbiory Załuskich, podobnie jak większość innych cennych księgozbiorów polskich, zostają z rozkazu carowej Katarzyny wywiezione do Rosji, z przeznaczeniem zapoczątkowania rosyjskiej biblioteki publicznej. Pozbawione właściwej opieki, zaniedbane i rozdzielone, niszczone, rozprasza się i coraz to maleją.

W POLSCE, mimo ciężkich losów, jakie w ciągu stu lat następnego przechodzi naród, myśl stworzenia biblioteki narodowej nie zamiera. Nieraz kieruje się Maksymilian Ossoliński, gdy zakłada fundacje

i lwowskie „Ossolineum”, Feliks Lubieński, gdy zapoczątkowuje dzisiejszą Bibliotekę Uniwersytecką warszawską, i Karol Estreicher przy pracy w krakowskiej „Jagiellonce”, z której chce stworzyć „bibliotheca patria”. Myśl tę podejmuje również emigracja, która, wolna od przeszkód, jakie stawiali zaborcy, pragnie gromadzić materiały do historii Polski, a zwłaszcza historii walk wyzwolńczych. Tak więc w r. 1870 Władysław Plater tworzy w szwajcarskim Rapperswilu muzeum, mające na celu, jak głosi akt fundacyjny, „zbieranie i przechowywanie polskich pamiątek historycznych”. W Paryżu przy Szkole Polskiej powstaje tak zwana „bibliotheca batignolska” oraz „bibliotheca wersalska”, a liczni prywatni zbieracze przekazują im lub zapisują w spadku swoje cenne niereż zbiory. Dzięki temu gromadzą się ogromne materiały dotyczące działalności emigracji, wychodźczych organizacji politycznych, akcji konspiracyjnej na terenie zaborów. W Rapperswilu na przykład znajdowały się akta Legacji Polskiej, archiwum powstańczego Rządu Narodowego, poszczególnych sekcji oraz londyńskiej Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego, archiwum Seweryna Goszczyńskiego, Ludwika Mierosławskiego i innych. W Batignolles — akta Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego, Komitetu Zjednoczonej Emigracji Polskiej, redakcji „Demokraty Polskiego”.

Nadchodzi rok 1918. Odrodzona Polska podejmuje przekazaną jej przez minione pokolenia inicjatywę i powstaje dzisiejsza Biblioteka Narodowa. Jednakże prace idą raczej dość ospale, państwo nie ma dla nich dostatecznego zrozumienia i nie otacza wystarczającą opieką. Dość powiedzieć, że dopiero w r. 1928 zostaje wydany dekret erekcyjny Biblioteki, od r. 1927 napływają egzemplarze obowiązkowe a dopiero w roku 1938 nadany statut organizacyjny. Brak odpowiednich funduszy i odpowiedniego pomieszczenia również bardzo utrudnia postawienie na właściwym poziomie tej — największej w założeniu — biblioteki kraju. Wreszcie obciążają tradycje widzące w narodowej bibliotece coś w rodzaju „muzeum narodowych pamiątek” z zaniedbaniem wiedzy o narastającym życiu, o rozwoju współczesnych, zwłaszcza innych niż humanistyczne, nauk.

JAKIE są zasoby międzywojennej Biblioteki Narodowej? Wchodzą tam przekazane Polsce przez władze Z.S.R.R. zbiory Załuskich — i one to, wraz z przywiezionymi do kraju zbiorami rapperswilskimi oraz polskich bibliotek paryskich tworzą trzon główny. Uzupełniają go bogate dary zbieraczy prywatnych, nabywane planowo zbiory oraz poszczególne cenne pozycje. Tak na przykład Biblioteka Narodowa powiększa się o doskonale zachowany i pięknie oprawny księgozbiór wilanowski, o zbiory T. T. Jeża, J. I. Kraszewskiego, A. Kraushara, A. Oppmana. Otrzymuje ogromne archiwum tuhanowickie z lat 1541 — 1855, gdzie między innymi znajdują się listy mickiewiczowskiej Maryli, podówczas już pani Puttkamerowej, do jej brata. Ogólnie — Biblioteka Narodowa przed rokiem 1939 liczy 52.850 rękopisów, około 85.000 staruch, ponad pół miliona nowszych książek i czasopiśm, 80.000 szytów i rysunków, 28.000 nut.

Rok 1939. Wojna. Hitlerizm wrogi kulturze zwyciężonego kraju chce zniszczyć i zatrzeć pamiętki polskości, utrudnić — po swej przegranej — rozwój nauki polskiej. Rękopisy, starodruki i najcenniejsze zbiory zostają przez hitlerowców zgromadzone w jednym gmachu i po powstaniu podpalone. Część zbiorów — między in-

nymi zaluszciana — zostaje wywieziona do Niemiec.

Biblioteka Narodowa ponosi niepowetowane, niepowrotne straty. Ale — wraz z całym państwem polskim odradza się i przystępuje do nowej wyzycznej pracy. Część wywiezionych zbiorów zostaje odnaleziona w Niemczech Wschodnich przez zwycięską armię radziecką i zwrócona Polsce. Reszta — wywieziona do Niemiec zachodnich — pozostaje tam po dziś dzień, mimo wszelkich starań państwa polskiego o ich odzyskanie. Biblioteka Narodowa otrzymuje szereg bibliotek podworskich i magnackich. Troskliwa opieka państwa, przyznawane fundusze pozwalają na dalszy planowy rozwój. Ujmijmy go — w zakresie zasobów bibliotecznych — cyfrowo; po stratach wojennych wynoszących około 207.000 druków nowszych, 50.000 starodruków, 25.000 rękopisów i 143.500 innych zbiorów specjalnych — łącznie 425.500 pozycji — Biblioteka Narodowa w r. 1945 liczyła około 240.000 druków nowszych i 50.000 starodruków. Rok następny przynosi; reewakuowanych z Niemiec i Austrii około 140.000 druków nowszych, 20.000 starodruków i 150 rękopisów; nowych zaś nabytków: około 100.000 druków nowszych, 6.700 starodruków, 268 rękopisów. — łącznie około 540.000 pozycji. W roku 1951 Biblioteka Narodowa ma już: 192.592 czasopiśm, 847.265 druków nowszych, 102.542 starodruków, 6.575 rękopisów, 55.729 innych zbiorów specjalnych. — łącznie: 1.207.713 pozycji — a więc liczba dwukrotnie przewyższająca przedwojenny stan posiadania. Imponują-

cy to zaiste dorobek siedmiu lat Polski Ludowej!

WSPOMNIJMY — nawiasowo — o paru najcenniejszych pozycjach. Będą to: w zakresie rękopisów — rękopis „Krzyżaków” i „Quo vadis”, dziennik Żeromskiego, rękopis „Farsona”, korespondencja Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego i wiele innych dzieł wiekopiętnych. Piękny, wspaniale iluminowany Mszał Tyniecki z X wieku, tzw. „karta Malinowskiego” — fragment polskiego przekładu czteremastowiecznego objawień świętej Brygidy. Niestety Kazania świętokrzyskie i Psalterz Floriański — skarby przedwojennej Biblioteki Narodowej, zdeponowane w Kanadzie, są tam do dziś bezprawnie puzetrzymywane.

Tyle o historii i zasobach polskiej Biblioteki Narodowej. A teraz przejdźmy do omówienia celów i zadań jakie sobie ona stawia, jej pracy i roli w życiu naukowym i społecznym kraju.

Biblioteka Narodowa to centralna biblioteka państwowa i uniwersytecka. Zadaniem jej, jak to precyzuje tymczasowy statut, jest gromadzenie, przechowywanie i udostępnianie dokumentów i zabytków kultury polskiej w zakresie piśmiennictwa, produkcji wydawniczej i wydawnictw polskich lub zagranicznych dotyczących Polski oraz piśmiennictwa obcego w zakresie niezbędnym dla rozwoju nauki polskiej we wszystkich dziedzinach wiedzy. Jako ośrodek centralny o charakterze biblioteki uniwersyteckiej ma współpracować z centralnymi bibliotekami specjalnymi, koordynować ich pracę, jednocześnie

Święty Paweł w świetle badań współczesnych

ZAINTERESOWANIE katolików wydaniami Biblii jest zjawiskiem dodatnim. Obecnie ukazują się coraz to liczniejsze tłumaczenia Pisma Św. W Polsce „Nowy Testament” ks. dr E. Dąbrowskiego, w Belgii wydanie Maredsous, we Francji wydanie kardynała Liénarta i O.O. Dominikanów czynią konkurencję staremu wydaniu Crompon'a, które tak długo utrzymywało się samotnie na rynku.

W wydaniu zbiorowym Dominikanów „Lectio Divina” wychodzącym w Paryżu, kanonik Cerfaux opublikował ważną pracę „Chrystus w teologii Św. Pawła”. Należało by zainteresować tą pracą laików, a równocześnie scharakteryzować pewne aktualne tendencje ekzegezy Nowego Testamentu. Ekzegeza protestancka XIX wieku dotyka z niechęcią nauki Św. Pawła. Ogólna tendencja, by sprowadzić chrześcijaństwo do moralności naturalnej nie zgadzała się z doktryną tego teologa. To też pierwszym odruchem szkoły w Tübingon. na czele której stał F. C. Baur (1792 — 1860), było przedstawienie nauki apostoła, jako heglowskiej antytezy nauki Chrystusa. Paweł był następcą Chrystusa, Paweł w pewnym sensie był przeciwieństwem Chrystusa. Nowa religia, pochodząca z żydowskiej Palestyny została zaszczerpiona wpływami hellenizmu. W ten sposób chrześcijaństwo z religii lokalnej zamieniło się w religię uniwersalną. Szkoła liberalna osłabiła i skorygowała poglądy Baura, lecz wpływ ich pozostał. Wniosek ten urabiał krytykę literacką, nie uwzględniającą dowodów ze starożytności i danych z autentycznych źródeł. Uznawano za prawdziwe tylko niektóre listy Pawła: do mieszkańców Galaty, do Rzymian, oraz I i II do Koryntian. Reszta listów należała rzekomo do uczeń, lub była sfałszowana. Szkoła holenderska w ogóle nie przypisywała autorstwa listów Pawłowi. Tymczasem badania nad historią wyznań robiły szybkie postępy a studia postaci Św. Pawła wzięły na przełomie tego wieku inny kierunek. Zbliżono Św. Pawła do religii mistycznych i gnostycyzmu. Złożono hołd jego mistycyzmowi, jego nauce o zbawieniu, która nie zawierała tylko prostej moralności ludzkiej, ale zesolenie z Bogiem, sakramentami i Kościołem. Z rabbinem stał się Paweł filozofem, jednym w swoim

rodzaju założycielem chrześcijaństwa. Równocześnie zaniechano liberalizmu i wyłącznie moralnego aspektu religii Chrystusowej. Problem z literackiego przekształcił się w historyczny, zaczęto słusznie ocenić geniusz obywatela rzymskiego z Tarsu.

Z początkiem tego wieku, zapanał nowy prąd w ekzegezie. Zaczęto przedstawiać chrześcijaństwo, jako przepowiednię końca świata. Jako herold przyszłego przyjścia Chrystusa, wyciągał Paweł ze śmierci i zmartwychwstania Jezusa praktyczne konsekwencje przemiany serc ludzkich. Jezus i Paweł łączyli się tu — jeden był kontynuatorem drugiego, przyjmował ideał, a często i myśł poprzednika. Obie te interpretacje nie znikają ze współczesnej ekzegezy. Krótko mówiąc, problem postaci Jezusa i Pawła jest problemem chrześcijaństwa i paulinizmu, sprowadza się do systemu, który łączy mistrza i ucznia. Co więcej, dziś oddaje się słusność trwałej wartości i geniusza apostoła narodów. Jakże dalekie zdają się nam czasy, gdy Renan oświadczył: „Paweł, który przez lat 300 zdawał się być doktorem „par excellence” chrześcijańskim, zaczyna dziś, dzięki protestantyzmowi kończyć swe panowanie — Jezus natomiast jest bardziej, niż kiedykolwiek żywotny. Już nie list do Rzymian, ale kazanie na górze wyraża myśl chrześcijańska. Prawdziwy chrześcijaństwo pochodzi nie z listów, lecz z Ewangelii”. Renan, zły sędzia, i zły prorok, przegrał. Dzisiejsza wiedza składa słuszny hołd Pawłowi, jako człowiekowi, apostołowi, teologowi i mistykowi.

Zastanówmy się jakie są obecne metody badań takich dzieł, jak dzieła Pawła i Jana. Dużą pomocą są stare akta. Historia założenia pierwszej gminy chrześcijańskiej w Jerozolimie znalazła w Św. Łukaszu dokładnego i autorytatywnego dziejopisę. Badania takie, krytyczne a równocześnie konstruktywne noszą nazwę „Formgeschichte”, lub lepiej „Traditionsgeschichte (historia tradycji). Katolicy nie mogli przyjąć tej nowej metody w formie, w jakiej powstała ona w Niemczech. Należało ją wpiąć o czyszczyć z przesądów filozoficznych, choć w zasadzie było ona dobra, gdyż podawała sposób krytyki historycznej, interpretacji i sięgania do źródła wiadomości. Dlatego też niektó-

rowując centralną ewidencję polskich zasobów bibliotecznych, co przyczyni się do ich udostępnienia dla celów czytelniczych. Obowiązkiem jej jest prowadzenie pomocniczych prac naukowych, a więc bibliograficznych o charakterze ogólnym, przy ścisłej współpracy z ośrodkami prowadzącymi prace nad bibliografiami szczegółowymi, dalej wykonywanie i publikowanie prac badawczych nad posiadanymi zbiorami. Pomnikowe dzieło Estreichera — ogólna bibliografia druków polskich jest doprowadzona za ledwie do r. 1900. Biblioteka Narodowa ma prowadzić — i prowadzi — pracę nad jej kontynuacją. W tej chwili są już opracowane lata 1900—1912. Tu warto zaznaczyć, że pewne prace w tym zakresie były prowadzone w czasie okupacji przez studentów tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, pod kierunkiem profesorów.

Pracę nad centralną ewidencją polskich zbiorów bibliotecznych Biblioteka Narodowa musiała zacząć od utworzenia, właściwie mówiąc od stworzenia na nowo własnych katalogów, całkowicie zniszczonych przez wojnę. Obecnie jest gotowy alfabetyczny katalog główny liczący 379.000 kart; od 1950 r. prowadzone są prace nad stworzeniem katalogu systematycznego obejmującego w danej chwili wydawnictwa polskie od r. 1945, zaczęto też prace nad katalogiem przedmiotowym. Ponadto opracowuje się kilka katalogów pomocniczych i specjalnych oraz oddzielne katalogi starych druków, rękopisów, grafiki i kartografii. Na ukończeniu jest katalog

(Dokończenie na str. 6.)

rzy katolicy, na czele których stoi kanonik Cerfaux nie boją się wstąpić na nową drogę. Profesor teologii z Louvain zainteresował już ekzegetów serią artykułów oraz książką p. „Teologia Kościoła według Św. Pawła”, która odniosła niebawem sukces. Jego nowa praca wzbudza również duże zainteresowanie „Idea Św. Pawła zostanie zawsze skomplikowaną; można ją rozpatrywać z różnych stron” pisze kanonik. Różnica on w dziele apostoła kolejność punktów widzenia. Zmartwychwstanie i ponowne pojawienie się Chrystusa na ziemi występują na plan pierwszy w liście do mieszkańców Tessałonik. Nauki o istocie sprawiedliwości chrześcijańskiej, mądrości Bożej, miłości i mistycyzmie charakteryzują listy do mieszkańców Galaty, do Rzymian i Koryntian. Wykład o tajemnicy Chrystusa mieści się w listach, podobno pisanych w niewoli, do Filipian, oraz mieszkańców Efezu.

Światopogląd ten staje się jednolity i rozwija się w miarę doświadczenia, jakiego nabrał Paweł w czasie pobytu w Koryncie i Efezie. Z tego punktu widzenia wypływają trzy kolejne syntezy, umacniające koncepcję Chrystusową Pawła. Te trzy stadia wypłynęły z potrzeby, stwarzając stopniowo zakres zainteresowań i ideologii paulinizmu.

Pierwsze listy zawierające nauki dla pierwszej gminy chrześcijańskiej mówią głównie o Chrystusie, jako o „sprawcy” zbawienia. Następnie troška teologa skupia się wokół znaczenia chrześcijaństwa, uświęcającego życie doczesne i stwarzającego takie wartości, jak świętość, sprawiedliwość, mądrość — są to dary Chrystusa. Z dwóch poprzednich rodzi się trzecia nowa synteza: „chrystologia” w ścisłym słowa znaczeniu — to tajemnica Chrystusa. Schemat ten zawiera ewolucję myśli paulińskiej, bez zmiany doktryny, lecz przez jej wzbogacenie.

Takie ujęcie nauki Św. Pawła jest zupełnie nowe. Wiemy, że jedyną księgą, jaka studiował apostoł była biblia grecka. W łonie samego paulinizmu istnieją 2 kierunki: kierunek ciągłości i wszechstronności. Trzeba obojętnie czuwać przy interpretacji pism apostoła, by nie zejść z właściwej drogi.

R. D.

Federico Garcia - Lorca

Motywy religijne w twórczości Federico Garcia-Lorki są częste. Anioły, Madonny, niebo, święci hiszpańscy, pojawiają się nie tylko jako ornament, nieraz stanowią dominantę utworu, jak to widać chociażby w poematach opiewających trzech popularnych w Andaluzji świętych: Michała, Rafała i Gabryjela ze zbioru „Romancero Gitano”.

Zresztą prawie wszyscy poeci hiszpańscy wierni są tej żywej tradycji pobuwyspu. Moment wzruszenia kultem religijnym odnajdziemy u bruci Machado, u Ramona del Valle-Inclan, nawet wcześniejsze poematy radykalnego Rafaela Alberti nie wolne są od tych elementów.

Ale urok liturgii przekształca Garcia-Lorca na swoisty świat lirycznego piękna. Przykładem może być właśnie „Poemat o Pieśni Strzelistej”. Tytuł oryginału „Poema de la Saeta” sprawił tłumaczowi wiele kłopotu. Słowo saeto bowiem oznacza strzałę ale równocześnie tak nazywane są stare pieśni ludowe o treści pobożnej, śpiewane w czasie uroczystości kościelnych. Na tym podwójnym sensie saety, jak na tonacji muzycznej, zbudowana jest dźwięność utworu. Ostrza strzał i przenikliwość pieśni pasyjnych stwarzają aluzyjnie atmosferę cierpienia — mgli wewnętrznej.

W czasie Wielkiego Tygodnia przeciągają ulicami Sewilli sławne „Pasos” — procesje wielkopostne; nieraz i w nocy przy świetle lamp i pochodni. Pośród kadzideł i kwiatów niesione są wtedy nieprzeliczone posągi Chrystusów i Madonn. Towarzyszą im pieśni śpiewane przez tłum idący ulicami i stojący na balkonach. Wzjętą takiego pochodni maluje wielki Andaluzczyk w swoim poemacie. Charakter Saety podkreślony jest tu przez typowe u Lorki refreny, stanowiące oryginalne albo lekko stylizowane fragmenty pieśni ludowych. Pewne niedomówienia i niejasności tekstu, wywołane są wpływem ultrazizmu, kierunkiem bardzo modnego w poezii hiszpańskiej lat dwudziestych, który stanowił odpowiednik nowatorskich prądów we Francji czy w Niemczech. Poemat należy do zbioru „El Conte Jondo”. S. B.

Poemat o Pieśni Strzelistej

A Francisco Iglesias

LUCZNICZY

Gromady ciemnych luczników
zbliżają się do Sewilli.

Rozwarł się Guadalkwiwir

Szerokie szare sombrero
długie powiewne płaszcze.

Ach, wodo Guadalkwiwiru!

Przychodzą z bardzo odległych
krajów wielkiego cierpienia.

Rozwarł się Guadalkwiwir

Odechodzą w głąb labiryntu
Miłość, kryształ, kamienie.

Ach, wodo Guadalkwiwiru!

NOC

Gromnica, lampa oliwna
latarnia i świetlik

Konstelacje
Strzały.

Okienka ze złota
mrugają,
o świetle się kotłowały
krzyże nieprzeliczone.

Gromnica, lampa oliwna
latarnia i świetlik.

SEWILLA

Sewilla jest smukłą wieżą
pełną przebiegłych luczników.

Sewilla śmiertelnie zrani
w Kordobie grobowy kamień.

Miasto podejrzliwie słucha
przeciagłych rytmów
i splata je
w labirynty
kręte jak winorośle
płomiennie.

Sewilla śmiertelnie zrani

Pod łukiem nieboskłonu
na równinie przejrzystej
przemija niewzruszenie
smukły strumień strzelisty.

W Kordobie grobowy kamień.

Pijany horyzontem
mieszka w głębinach wina
z goryczą Don Juana
świetność dionizyjską.

PROCESJA

Madonna w krynolinie
Panna Samotności
rozkwitła jak olbrzymi
kielech tulipanu.
Na łodzi ze światła

płyniesz

przez ocean
miasta

W zamęt pieśni strzelistych
i kryształowych gwiazd.

Madonna w krynolinie
odpływasz
na rzece ulicy
w stronę morza.

PIEŚŃ STRZELISTA

Śniady Chrystus
przechodzi
od lilii judejskiej
do hiszpańskich goździków.

Spójrzcie Nań, skąd przybywa —

Z Hiszpanii. —

Niebo czyste i ciemne
ziemia zapiekła
a dnem rzeki przepływa
leniwa woda.

Śniady Chrystus
o spopielałych kędziarach
i zapadłych policzkach
blade przymyka powieki.

Spójrzcie Nań dokąd idzie.

BALKON

Lola
śpiewa pieśni strzeliste
w kręgu
młodzieńskich torreadorów
a zabawny cyrulik
stojąc przy bramie
podkreśla rytmy
kiwaniem głowy.
Wśród pęków bazyli
i pachnącej mięty
Lola śpiewa
pieśni strzeliste.
Lola, to ta, która
tak się przeglądała
w lustrach fontanny.

SWIT

Lecz podobnie jak miłość
strzelcy
są ślepi.

Ponad nocą zieloną
strzały
rysują wizerunek lilii
płomiennych.

Dziób księżycy
przebija chmury
a kotłowany
napelnia rosą.

Lecz podobnie jak miłość
Strzelcy
są ślepi.

Przełożył Stanisław Bogusz

Sławomir BŁAUT

Tam gdzie rosną nowi ludzie

„Spotkania włoskie” były bardzo udanym startem Mariana Brandysa na polu reportażu literackiego. Nie przypadkowo trafił pisarz w tak dziś ważną dziedzinę twórczości literackiej. „Spotkaniami włoskimi” wkroczył zdecydowanie w naszą literaturę twórca mocny i świadomy, wolny od typowo debiutanckich słabości, reportażysta dużej miary. Wnikliwa obserwacja, trafny wybór i powiązanie faktów stanowiących dokumentację postawionych tez (a raczej materiał dowodowy do wysnutych wniosków) oraz celny komentarz dawały możliwość pełną panoramę życia współczesnych Włoch.

Każdego odbiorcę żyjącego sprawami dnia dzisiejszego, a przede wszystkim czytelnika świetnie uchwytanych „Spotkań włoskich” zainteresować musi druga książka*) ruchliwego reportażysty, wnosząca literacką wizję jednego z najciekawszych przejawów współczesnego życia — Nowej Huty. Sięgając do naszej współczesności pisarz chciał pokazać proces przemian, jakie się u nas dokonały i ciągle się jeszcze dokonują. Za przedmiot swej pracy wybrał dzieje powstania Nowej Huty, które skupiając w sobie z siłą olbrzymiej soczewki najważniejsze ogniska tych przemian pozwalają w dynamicznym skrócie prześledzić ich przebieg.

Koncepcja opowieści o Nowej Hucie wiąże się ściśle z postawą światopoglądową autora. Dla Brandysa decydujące przemiany gospodarczo-społeczne określają dokładnie niemniej zasadniczą przebudowę psychiki ludzkiej. Taką to konstrukcją losu człowieka panuje w świecie jego utworu. I wydaje się, że godną podkreślenia zdobyczą „Początku opowieści” jest ustawienie spraw ludzkich na centralnym planie opowieści. Na nich skupia się głównie uwaga pisarza; sprawy produkcyjne nigdy ich nie przesłaniają, nie nabierają bytu samodzielnego, nie autonomizują się, jak to zdarza się w wielu powieściach, ale służą do pełniejszego ukazania człowieka. „Nowa Huta rośnie, a wraz z nią rosną nowi ludzie” — czytamy w zapiskach inżyniera Byrskiego. Najbardziej wyrazistym przykładem tej tezy jest murarz Malaga. Ileż wewnętrznych sporów musiał pokonać ten człowiek, ile trudu kosztowało przełamanie jego złośliwej antypatii do ludzi, nieufności do otoczenia, uzdrowienia jego zwichniętej przez życie psychiki zanim mógł napisać w liście do żony proste, lecz jakże znamienne słowa: „Kasiu, piękny jest ten świat”.

Kształt artystyczny nowej książki Brandysa nie jest łatwy do określenia, bo „Początek opowieści” nie jest utworem jednolitym. Wymieszanie elementów gatunkowo różnych stawia go na pograniczu powieści i reportażu. O ile materiał „Spotkań włoskich” ma charakter statyzujący, wynikający z ogólnej stagnacji życia Włoch, to w „Początku opowieści” zamiar ukazania narodzin żywego człowieka, przeobrażenia jego psychiki na tle imponującej rozmachem budowy stawia autora przed skomplikowanym, wymagającym zgłębienia intensywnie dynamicznym procesem rozwojowym. Ta odrębność warunkuje konieczność innego aspektu, innego życia. Zadanie wniknięcia w świat przeżyć wewnętrznych wymaga bardziej precyzyjnych narzędzi poznawczych, większego zasobu środków odtworczych. Nacoczność obserwacji jaka w zasadzie cechuje reportaż nie mogła tu wystarczyć. Próba arty-

stycznej obróbki obfitego materiału, zebranego z wędrowek reportera, obnaża prymitywizm warsztatu pisarskiego Brandysa. Przyczyną głównych słabości książki jest jej przejściowy charakter. „Cała moja książka będzie zbudowana wyłącznie z autentycznego materiału, który zebrałem w Nowej Hucie, bez żadnych dodatków fikcji literackiej. Ale muszę was z góry uprzedzić, żebyście nie starali się w niej szukać fotografii swoich znajomych, bo takich fotografii nie będzie. Zamiast dawać kilkanaście fotografii będę się starał z autentycznego materiału faktów w ten sposób ulepszyć moje postacie, aby każdy człowiek Nowej Huty mógł znaleźć w nich coś z siebie”. To w pewnej mierze słuszne wyznaczenie autorskie implikuje błędną sugestię. Wbrew temu, co mówi powyższy cytat, domieszka fikcji literackiej jest wyraźna; trzeba też na nią zwrócić szczególną uwagę, bo zaciążyła na realizacji pisarskich zamierzeń. Brandys sięgnął do arsenału środków powieściowych, ale ponieważ nie zawsze włada nimi błęgle, a także dlatego, że wybrane środki nie należą do najnowszych, zastrzyk ten okazał się zawodny.

Dużo tu naiwności psychologicznej, uproszczeń, wygrzywania na łatwych efektach. Beletryzacja materiału zaciera ostrość widzenia, kontury rzeczywistości stają się mniej wyraziste, rozpiwiają się. Tam jednak, gdzie bystra obserwacja bierze górę nad sztuczną konwencją literacką powstają sceny tętniące życiem, pełne prawdy psychologicznej, zamknięte w proste, niebanalne kształty (opowiadanie „Na ławce” czy epizod przyjeżdża do pracy małego listonosza z „Ducha Nowej Huty”).

Jedność miejsca, następstwo czasowe, obecność akcji, ciągłość fabularna, wspólne postacie łączą kilkanaście reportaży, opowiadań i szkiców w wyraźną choć może niezbyt harmonijną i zwartą całość. W części I, stanowiącej suł generis ekspozycję, zarysowuje się profil wątków fabularnych, zawierają się pierwsze nici konfliktów.

Biblioteka Narodowa

(Dokończenie ze str. 5)

centralny starych druków wszystkich bibliotek polskich.

Udostępnieniu rzadkich i szczególnie cennych pozycji służy również założona w r. 1949 Stacja Mikrofilmowa, bardzo starannie wyposażona technicznie, z jednej strony przygotowująca fotokopie dla użytku czytelników i wypożyczenia międzynarodowego, z drugiej — przez ich od-fotografowanie zabezpieczająca cenne polskie zbiory biblioteczne przed groźbą utraty. Przy Stacji Mikrofilmowej stworzona jest centralna polska filmoteka biblioteczna.

Prace bibliograficzne prowadzi Instytut Bibliograficzny, w działach: 1. bibliografii bieżącej ogólnej, 2. bieżącej specjalnej, 3. retrospektywnej, 4. teorii bibliografii. Instytut wydaje tygodnik „Przewodnik Bibliograficzny” będący urzędowym wykazem druków oraz — od r. 1946 — „Bibliografię Zawartości Czasopism” miesięcznik, ponadto nieregularnie ukazuje się „Biuletyn Instytutu Bibliograficznego”, zawierający rozprawy teoretyczne i praktyczne.

Stojąc na usługach masowego czytelnictwa i chcąc czynnie współdziałać w rozwoju kultury Biblioteka Narodowa zorganizowała w r. 1947 systematyczną służbę informacyjną, idącą w trzech kierunkach: 1. dla zagranicy — dostarczanie materia-

łów bibliograficznych, informacji bibliotecznych i rzeczowych, 2. dla kraju — informacje dla szerokiego ogółu czytelników zwracających się o porady do Biblioteki, wypożyczenie poszukiwanych dzieł poprzez biblioteki naukowe i powszechne, 3. informacje dla bibliotek, urzędów i instytucji warszawskich.

W r. 1951 nastąpiło wyodrębnienie działu Informacji Naukowej i Poradnictwa. Tworzone są tak zwane „bibliografie zalecające” w związku z określonymi aktualnymi zagadnieniami (na przykład rocznica Hugona Kołłątaja, Komuny Paryskiej) i rozsyłane zwracającym się o odpowiednią daną. W przygotowaniu znajduje się kartoteka cytat.

W trosce o jak najdogodniejsze dla czytelnika formy współpracy organizuje się narady z czytelnikami, gdzie wypowiedzają się oni na temat postulowanych przez siebie zmian czy poprawek w pracy biblioteki.

Cała działalność ma na celu „wyjście do czytelnika”, wciągnięcie go w krąg zainteresowań naukowych, rozwój wszczepić i w głąb kultury mas narodowych. Biblioteka Narodowa niemało sobie stawia zadania i poważnie wypełnia prace. Dotychczasowy rozwój pozwala jak najlepiej rokować o dalszych etapach.

Anna Wisłocka

*) Marian Brandys „Początek opowieści”. PIW 1951, str. 351.

Leon DWERNICKI

W BLASKU PRZESZŁOŚCI (3)

Czerwińsk leży nad Wisłą

„ZAKRĘTOWANIE” odbyło się o godzinie 17,45, punktualnie o 18-ej statek „Sowiński” odbił od przystani „Państwowej Żeglugi Śródlądowej”, prześliznął się pod przesłaniami mostów warszawskich, minął stoki Cytadeli i wypłynął na szerokie wody wiślane.

Gromadka pasażerów skupiła się w kajutach 3-ej klasy (drugiej „Sowiński” nie posiada), nieliczni tylko, niezrażeni pokropowaniem deszczu, pozostali na pokładzie, by zająć „morskich” wrażeń.

„Sowiński” sprawiał się dzielnie, prowadzony wprawą ręką kapitana Czerwińskiego, pruł szybko wody wiślane, pozostawiając za sobą grzbiety białych fal. Noc była, gdy przybliżyliśmy do kamiennego nadbrzeża w Czerwińsku.

Przyznać muszę, że ułożony z góry plan opisu mojego desantu w Czerwińsku runął całkowicie; białe bowiem mury klasztoru nie były widoczne z daleka, strzeliste wieże nie godziły w niebo, na wysokim wzgórzu nie wyłonił się przastary kościół, jasnym jest, że tak być musiało, było bowiem ciemno i nie było widać.

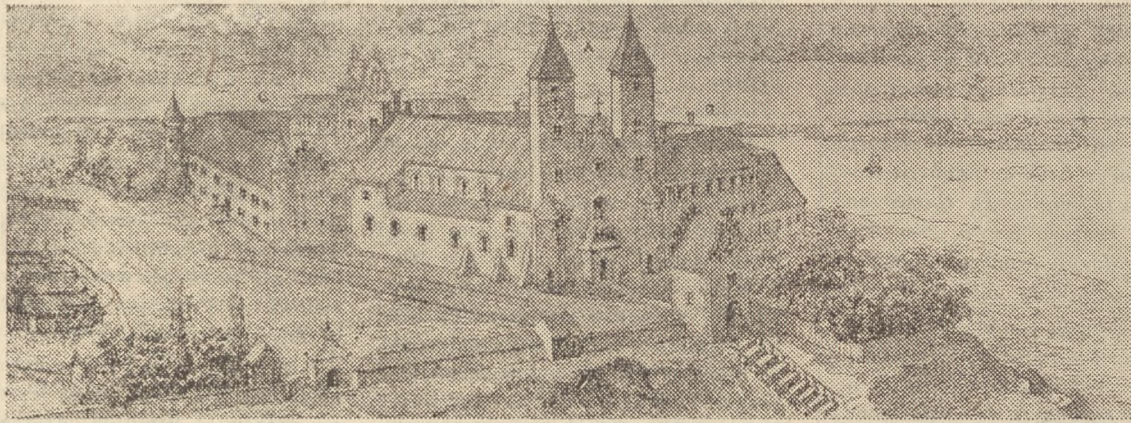
Wszystkie więc „wyłonienia” na leżno odłożyłem do poranku i wędrować wśród ciemności przez uśpio- nie uliczki Czerwińska, by szukać schronienia u księży Salezjanów, którzy dziś w murach dawnego klasztoru prowadzą nowicjat. Błask elektrycznej latarki i wesoły głos ks. prefekta Spinka umężył mnie, że noc spędzę pod gościnnym dachem.

NAWET gdybym chciał tuszować, to i tak prawda jak oliwa wypłynęła na wierzch, no więc lepiej nie kręcić! Przecież Czerwińsk, jeśli ktoś odważy się popłynąć doń statkiem, leży o 64 km od Warszawy i to co napisałem każdy może za 4 złote, groszy 20 — tyle kosztuje bilet — sprawdzić.

Gdyby istniał nowy przewodnik turystyczny woj. warszawskiego, to pod literą C przeczytalibyśmy: „Czerwińsk nad Wisłą — starożytna osada, posiadająca kościół romański z XII wieku oraz klasztor, w którym ongiś księża Kanonicy Laterańscy reguły św. Augustyna zamieszkiwali”.

Dwunasty wiek, kościół romański — tak oświeceni udalibyśmy się do Czerwińska, sądząc, że ujrzymy dobrze zachowany przastary zabytek, istny skarb Mazowsza. Doznalibyśmy jednak lekkiego zawodu.

Trudno, należy przyznać się do błędu jakim był brak należytej opieki nad bezcennymi, a tak nielicznymi pomnikami architektury romańskiej. Te prawdziwe księgi, z których odczytalibyśmy przeszłość naszej ojczyzny, były przerażające, rozbudowywane i upiększane, tak gruntownie, że pierwotny ich styl, wygląd i kształt został mocno za-



Kościół klasztorny w Czerwińsku.

Sztylet z XVII wieku

stwierdzały, że za panowania Bolesława Krzywoustego był już w Czerwińsku kościół, przez Piotra Dunina ze Skrzynna w r. 1117 z ciosowego kamienia wystawiony. Długosz wspomina także, że Piotr Dunin wybudował swym sumptem aż 77 kościołów w Polsce.

Przyznać należy, że pan Piotr ognistym był kawalerem i trochę w grzecznej wodzie kąpany. Z biegiem czasu sporo grzechów obciążało jego sumienie. Raz spodobała mu się panna młoda u sąsiada i porwał ją, drugi raz rozsierdził się na włodarza księcia przemyskiego, któremu wierność zaprzysiął i córke mu do chrztu trzymał, więc pojął go zdradziecko i samosąd nad nim uczynił.

Wreszcie przebrała się miarka i pan Dunin zrozumiał, że trzeba odpokutować. Gdy Papież jako pokutę nakazał mu 7 kościołów zbudować — on 77 kościołów wystawił. Gest nie lichy — tak przynajmniej głosz podania.

Wróćmy jednak do właściwych dziejów świątyni. O ile ustalenie zupełnie ścisłych dat dotyczących początku budowy kościoła i klasztoru nasuwa pewne trudności, o tyle wszystkie późniejsze wydarzenia i prace renowatorskie znajdują już potwierdzenie w dokumentach i studiach historycznych.

Siedmiomilowymi krokami przejdźmy dzieje kościoła i klasztoru.

— Królowie: Bolesław Kędzięzawy i Kazimierz Sprawiedliwy hojnie klasztor uposażyli i liczne przywileje dla włości jego udzielił, co w roku 1222 Konrad I osobnym przywilejem potwierdził.

— Bogactwa klasztoru obudziły zazdrość możnych. Aby uniknąć napaści kanonicy szukali opieki u papieża. Inocenty IV w r. 1254 przyjął opiekę; kłatwa groziła temu, kto by osmieleł się skrzywdzić klasztor i kościół.

— Konrad II, książę czerski, nowe wielkie dobra ofiarował. Siegają one aż po ulicę Koźla w Warszawie, gdyż liczne ogrody i domy zostały tu oddane kanonikom.

— W roku 1410 Władysław Jagiełło idąc przeciw Krzyżakom modlił się w świątyni o szczęśliwy wynik wyprawy. Po odniesionym zwycięstwie helm swój i srebrne wota na ołtarzu złożył. Pod Czerwińskiem również sławny most na 10dczłach był budowany, po którym przeszły wojska dążące na bój pod Grunwaldem.

— Około roku 1530, za opata Jakuba Kuli, rozpoczęła się przebudowa kościoła, usunięto strop drewniany i dano sklepienie gotyckie.

— 1633 rok ostatecznej zagłady pierwotnego wyglądu kościoła. Opat Mikołaj Szyszkowski pragnął posiadać świątynię bardziej nowoczesną, a ponieważ zbyt wiele poważania dla sztuki średniowiecznej nie posiadał, więc sklepienie przekształcił na barokowo-romańskie, a filary kamienne okrągłe i kwadratowe, na których wspierał się kościół, ogłą obudował i wszystkim kształt kwadratowy nadał. Gorzej jeszcze, bo wykonane z piaskowca kapitele na filarach okrągłych przy tej przeróbce zostały odrąbane!

Później przyszył już dalsze przeróbki. Ostatecznie z romańskiego wnętrza niewiele pozostało. Z trzech absyd pozostała tylko środkowa, z lewej dochowały się ślady, z prawej — nic. Na szczęście we wnętrzu świątyni coś niecoś ocalało, a ostatnie odkrycia dokonane w 1950 r. są rewelacyjne. Ale dojrniemy do końca historii kanoników

regularnych. W r. 1819 nastąpiła kasacja zgromadzenia kanoników regularnych, a bibliotekę i helm Jagiełły przewieziono do Warszawy. Cenna ta pamiątka później zaginęła. Opustoszałe budynki klasztorne objęły Panny Premonstratunki - Norbertanki, a w roku 1923 XX. Salezjanie.

DWIE wysokie wieże o surowych liniach romańskich wykonane są całkowicie z ciosanego granitu, natomiast w bocznych ścianach i w absydzie kościoła granit sięga do połowy ich wysokości — to jest niewątpliwie pozostałość po świątyni wzniesionej przez Dunina.

Ocalał również wspaniały portal rzeźbiony. Portal ten był wejściem głównym do kościoła i znajdował się zewnątrz świątyni. Obecnie po wybudowaniu kruchy tworzy jej zakończenie. Występujące w portalu motywy są typowe dla sztuki romańskiej, a przede wszystkim francuskiej. Czas wykonania portalu określony został na szósty dziesiętnik XII stulecia. Najbardziej interesującymi są figuralne motywy główne kolumn wewnętrznych. Jedną z nich ozdobiła jest motywem ludzkiej postaci walczącej ze smokami, na drugim kapitule widać twarz ludzka, z ust której zwisają gałązki roślinne. Tympanonu brak, są jednak jego fragmenty, które znaleziono później, już po od budowie portalu. Zbyt pośpieszna rekonstrukcja spowodowała, że portal nie został dokładnie odtworzony, gdyż niewątpliwie posiadał on kolumnę środkową, dzielącą go na dwa wejścia, był więc dwudzielny. Znajdujące się w prowizorycznym lapidarium szczątki kolumny, tympanonu i rzeźb świadczą najlepiej, że nie wykorzystane zostały wszystkie zachowane części, aby wspania-

ły portal odzyskał swą piękną pierwotną formę.

STRASZLIWE są przywileje wojny — niszczenie i rabowanie dzieł sztuki to chleb powszedni.

Rozbiory Polski, to nie tylko katastrofa polityczna, ale i klęska kulturalna.

Zaborcy nie oszczędzili pamiątek zgromadzonych w kościele czerwińskim. Zaginął helm Jagiełły, piękny relikwiarz kolońskiego pochodzenia, który przeszedł do zbiorów hr. Piotra Szuwałowa, a dziś nie wiadomo gdzie się znajduje. Przepadła również część biblioteki, niewiele pozostało ze 133 srebrnych wotów, wśród których były wota Jagiełły i Władysława IV, przepadło 16 portretów oraz 5 portretów wykonanych na blachach cynkowych.

Podczas ostatniej wojny, hitlerowcy zagrabili resztkę portretów, a wśród nich portret Piotra Dunina. Ten ostatni został jednak odzyskany i znajdować się ma w Krakowie. Okupanci rabują również resztki archiwum kościelnego. Archiwum to przed rozbiorem posiadało 64 sztuki pergaminów z pieczęciami na sznurkach jedwabnych wiszących i w pudełkach blaszanych umieszczonych.

Na pergaminach tych spisane były przywileje i nadania królów polskich i książąt mazowieckich oraz bulle papieskie.

Nie ostał się również i staruszek dzwon „Rafał” z XV w. pochodzący.

GDY z ust ks. mgr Hieronima Piskys dowiedziałem się o tym straszliwym rabunku byłem głęboko wstrząśnięty. — Od wojny, ognia i głodu, zachowaj nas Panie! I zachowały się zrzadzeniem Opatrzności pamiątki, które krzepią

naszą wiarę i głoszą jak przastara jest kultura nasza.

Zachował się więc w głównym ołtarzu obraz Najśw. Maryi Panny, malowany w XVI w. przez Łukasza z Łowicza. W kaplicy św. Augustyna zachował się obraz tego świętego, pędzla malarza Czechowicza z XVIII w. oraz mocno zniszczona już płyta grobowa opata Jakuba Kuli, zmarłego w 1538 roku.

Przetrawiały również... malowidła romańskie. Tak, malowidła romańskie, widziałem je na własne oczy. Ksiądz Piksa zaprowadził mnie do kaplicy Męki Pańskiej, gdzie właśnie dokonano tego rewelacyjnego odkrycia.

O istnieniu malowideł renesansowych, w absydzie, za ołtarzem głównym, wiedziałem już dawniej, natomiast w kaplicy południowej, przyległej do prezbiterium, aczkolwiek były pszaki, że i tu można doszukać się starych malowideł, poszukiwań żadnych nie prowadziło.

Po niszczycielskiej drugiej wojnie światowej tak zubożał, że potrzebny już jest najmniejszy odruch piękna. Dlatego też władze państwowe starają się nie tylko zabezpieczyć wszystkie znane historyczne zabytki i dzieła sztuki, ale co więcej, prowadzą poszukiwania uwiecznione często wspaniałymi wynikami. Tak właśnie było w kościele czerwińskim.

Departament Ochrony i Konserwacji Zabytków już od roku 1951 prowadził prace celem zabezpieczenia polichromii w absydzie za ołtarzem głównym. Podczas tych prac zwrócono również uwagę na kaplicę. Po odsunięciu ołtarza i wykonaniu prac wstępnych ukazały się spod pobiał, zdumionym oczom pracowników, fragmenty malowideł romańskich. Rozpoczęła się więc mrówcza praca przy zachowaniu jak największej ostrożności. Milimetr po milimetrze usuwając warstewki doprowadzono do odsłonięcia całej polichromii. Stwierdzono również, że na lewej stronie kaplicy, na romańskim malowidle leży jeszcze warstwa z gotyką, piętą z XV w. Pieta zostanie zdjęta i przeniesiona na inną ścianę w kaplicy. Ikonograficzne malowidła są bardzo bogate i ciekawe, przedstawiają one sceny z biblij, postacie świętych oraz wizerunki św. Marcina z Tours.

W półkolistej absydzie za nawą główną prowadzone są również prace, które doprowadzą do odsłonięcia malowideł renesansowych, gotyckich i nie jest wykluczone, że zakończą się odkryciem fragmentów romańskich.

Zdjęcia prof. Cz. Olszewskiego.

Jeszcze o muzyce i pewnym interpretatorze

Przy okazji rocznicy Beethovena odżyła na łamach naszych czasopismu nieśmiertelna a mętna sprawa muzycznych trości. Znowu zapytano, czy jest w muzyce coś poza dźwiękiem, znowu zgłoszono pretensję o literacką, obrazową interpretację tej trudnej sztuki. Nie ma w tym nic złego, że ludzie szukają sobie różnych, niewłaściwych często kluczy do sztuki. Ale uderzający jest fakt, że najczęstszą postawą wobec muzyki a także plastyki jest postawa literacka.

Przeglądając niedawno młodopolskie „Życie” znalazłem w numerze z dnia 1.XI.1899 r. artykuł Stanisława Przybyszewskiego poświęcony Chomnowi. Myślę, że warto przypomnieć ten artykuł właśnie dlatego, że jest on karykaturą owej literackiej postawy w ocenie i odbiorze innych sztuk.

Na początku poleca Przybyszewski abyśmy słuchali muzyki nie tylko uchem ale także duszą. Wtedy „rozta- czają się w nieskończonych korowodach obrazy i wizje” i „uprzytomniamy sobie charakter naszej ziemi”. O tym charakterze mówi długo i zawile, rezygnujemy przeto z cytatu, wybierając tylko co wnikliwy słuchacz w muzyce Chopina powinien zaważyć. A więc: 1) ugor, 2) piasek, 3) łubin, 4) pastwiska, 5) rzeczkę, 6) wierzby, 7) dziewczyn, 8) cukorki, 9) jęczmień, 10) pszenicę, 11) tatarkę, 12)

staw, 13) sitowie, 14) trzcinę, 15) róz, 16) topole itd. itd. Obok tych elementów krajobrazowych jest także w Chopinie życie ludu „jego wesela, chrzciny i pogrzechy, słyhać kłanie skrzypiec i podnienie basów, mianowe a piskliwe wykrzyki „Hej nasza”, to znowu żalobne szlochły — widać szerokie, faliste kregi tancerzy, co z kieliszkami na głowie tańczą, a ani kropki z nich nie uronia...”

Po tych wstrząsających opisach przechodzi Przybyszewski do równie wstrząsającej teorii. Pierwotny człowiek — rzecze redaktor „Życia” — nie mówił swych uczuć ale je śpiewał przeciągle, przejmująco, długo (tak długo jak trwało to uczucie). Było to bezpośrednio odtwarzanie uczucia w formie dźwięku czyli meta-słowo, meta-dźwięk. Ponieważ jednak operowanie meta-słowem i meta-dźwiękiem nawet dla pierwotnego wyjca było dość uciążliwe, zastępuje on te wszystkie meta symbolem, czymś co nie posiada ani siły uczucia, ani świętego charakteru poprzedniej formy wyrazu. Ponieważ teraz zaistniała wielka ilość uczuć nie mieszczących się w ciasnych symbolach, wymyślono meta instrument, który był czemś co miało zastąpić krtań pierwotnego człowieka i jego meta-muzykalne ucho.

Tu jest mniej więcej meta tej teorii, pominawszy takie drobizgi jak „borocentryczne jądro”, „ognisko ma-

terli śsającej”, tj. tęsknotę i oczywiste „wszechduszę”. Aby dać jeszcze czytelnikom pełną rozkosz literackiej interpretacji muzyki, zacytujemy jeszcze z tego samego artykułu taki fragment:

„Pomniecie koniec Sostenuto części w H-mol scherzo?”

Z nieskończenie bolesnej monotoni, zadumy, żalu, modlitwą rwie się nieraz gwałtowny, dziki akord.

Ten nagły ryk oszczepem ugodzono zwierza wśród głuchego wołającego kołysania się stopu, ten brutalny krzyk w dogorywającej agonii bólu, ten dzięk, obłąkany akord śmiechu, wśród żalobnej powagi jesiennej nocy — to już nie muzyka, to nagi, bezpośredni wykrzyk duszy, wijącej się w erotyzmach strachu, to więcej od muzyki, coś co ponad muzyką stoi!”

Ten fragment położyliśmy po to by obmyślić różne obrazowe interpretacje. Bo gdyby to co pisał Przybyszewski, z kolei przetłumaczyć na muzykę, wszedłoby to z tego pijane walenie pięścią w klawiaturę.

Widzicie zatem co grozi temu „kto nie tylko uchem chwytą dźwięki, zdania i ich wiązanie, ale duszą wsłuchanie w muzykę...” Ostrożnie z duszą i jej płaszczyką niekontrolowanych kojarzeń. Nie wstrząśnijmy się uszu, bo inaczej wsłuchniemy tam, gdzie niby głęboko, a naprawdę tylko cicho.

Stefan Martha



Kapitel kolumny portalu

tarty. Nie uniknął tego losu i Kościół Zwiastowania N. Maryi Panny w Czerwińsku, niegdyś typowa świątynia romańska z trzema absydami, dwiema wieżami i wspaniałym portalem.

ZAMIERZCHŁE to czasy. Przastary las pokrywał wzgórze czerwińskie nad Wisłą, gdy biskup płocki Aleksander sprowadził tu z Francji Kanoników Regularnych Laterańskich, reguły św. Augustyna, którzy serce gorejące strzają przesyte za godło swoje używali. Czerwińsk, jak wiele naszych klasztorów powstałych przed XIII w., dokumentu erekcyjnego nie posiada. Można więc tylko w przybliżeniu określić czas, w którym doszło do skutku fundacja czerwińska. Ponieważ udział w niej biskupa Aleksandra jest niewątpliwym, przypuszczać można, że nastąpiło to w r. 1129, t. j. w chwili objęcia stolicy biskupiej przez Aleksandra. Istniały również dokumenty, które

Jan POGORSKI

PROROK NIENAWIŚCI

TRZYSTA lat temu, biali przybysza, uchodząc przed prześladowaniami religijnymi i narodowymi z rozdartą wojnami Europą, założyli pierwszą stałą kolonię w okolicy Przyładka Dobrej Nadziei. Wchodząc na nieogósciną afrykańską ziemię, uchodząc płakali na myśl o porzuconej ojczyźnie i z lęku przed nowym życiem na dziewiczym lądzie.

Ale byli to ludzie twardzi i nieustępliwi, protestanci, których hiszpańska przemoc wygnała z Holandii, których Wojna Trzydziestoletnia zmusiła do opuszczenia Niemiec, którzy nie wahali się opuścić słodkiej Francji, by móc żyć w zgodzie z własnym sumieniem. Konno, z fuzją na ramieniu, lub na wielkich pokrytych płótnem wozach zaprzęgniętych w woły, przemierzali teraz bezkresny veld afrykański, czytając Biblię i szukając Ziemi Obiecanej.

Patriarchalne życie pokoleń na farmach w okolicy Kapsztadu, w prowincji Transwaalu czy Oranie wycisnęło wyraźne piętno na charakterze narodowym Boerów. Purytańskie, prymitywne społeczeństwo kolonistów hartowało się w wyprawach myśliwskich i wojnach z Murzynami szcze-pów Bantu, Kaffir, Zulu, ciągnących z północy. Gdzieś daleko świat się zmieniał, przechodziły rewolucje, powstawały nowe państwa, nowe ustroje, ale farmerzy w Południowej Afryce liczyli lata od „Wielkiego Treku“ (= Wielkiej Wędrówki) z 1836 r. albo od odparcia najazdów wojowniczych szczepów Matabele i Zulusów.

Świadomość narodowa kolonistów, owych „burgherów“ jak się z holenderską chętnie sami nazywają, dojrzała dopiero pod presją brytyjskiego imperializmu, podczas krwawej wojny burskiej (1899—1902). Wówczas to trzydziestodwuletni Jan Krystian Smuts zyskał światową sławę jako bohaterki generał, który długo potrafił opierać się brytyjskiej przemocy. Jego nieco młodszy kolega szkolny, Daniel Franciszek Malan, wolał wówczas deklarować swą lojalność Anglikom.

OBECNY konflikt w Afryce Południowej to nie tylko sprawa czarnych i białych obywateli Unii. To raczej trójkąt Boerów, Brytyjczyków i Murzynów Bantu.

Półtora miliona Boerów stanowi trzon nacjonalistycznej partii dra Malana. Uważają się oni za prawowitych właścicieli kraju, twierdząc, że Murzyni Bantu, Hindusi i Brytyjczycy przyszli później. Burscy politycy przygotowują się do oderwania Unii od Brytyjskiego Commonwealth'u.

Około miliona obywateli Unii jest czysto brytyjskiego pochodzenia. Ci kucpy, urzędnicy, przemysłowcy, rzemieślnicy mieszkają przeważnie w Kraju Przylądkowym (Cape Province) i w Natalu.

Murzynów jest prawie osiem i pół miliona. Jedna trzecia spośród nich żyje wciąż w stanie napół pierwotnym, w rezerwatach. Ale 2 miliony czarnych pracuje jako robotnicy w kopalniach diamentów i złota, przy sprzątaniu ulic, przy budowie dróg, gmachów, mostów. Drugie tyle czarnych rolników pilnuje bydła białych panów, zbiera ich zboże, wino, owoce. Olbrzymia ilość pięciu milionów Murzynów, po większej części „czarnoroboczych“, jest właśnie tą siłą, która zapewnia Unii bogate plony, czy-

ste ulice i jeden z najwyższych standardów życiowych na świecie. Ale z bogactw tych korzystają tylko biali obywatele Unii.

Ponad milion mulatów i 300 tysięcy Hindusów dopełnia mozaiki ludności Unii Południowo-Afrykańskiej. Aż do niedawna, mulaci nie mieli pełnych praw obywatelskich. Naprzykład, w Kraju Przylądkowym mieli oni prawo głosować tylko na białych kandydatów.

Czarni mieszkańcy Południowej Afryki i Hindusi w gruncie rzeczy nie posiadają określonych praw wyborczych. Nacjonalistyczne stronnictwo dra Malana stara się usilnie by nie mieli oni żadnych praw w ogóle.

ZACZEŁO się od tego, że dwa miesiące temu, rząd Daniela Malana zaproponował pewien projekt ustawy. Jak to wytłumaczył minister T. Dönges, specjalna komisja parlamentu orzekła odtąd będzie czy dana ustawa, uchwalona przez parlament jest zgodna lub też nie z konstytucją.

W świetle ostatnich wypadków uchwała ta posiada decydujące znaczenie. Niedawno, bowiem, Najwyższy Sąd Unii, odrzucił, przeforsowaną przez nacjonalistów ustawę, odbierającą prawa obywatelskie kilku dziesięciu tysiącom mulatów. Zamiast ustąpić przed sprzeciwem Sądu Najwyższego, nacjonaliści zapragnęli



po prostu zmienić konstytucję w ten sposób, by cała władza przeszła w ręce stronników dra Malana w parlamencie, podporządkowując owej sławetnej „komisji“ parlamentarnej nawet Najwyższy Sąd Unii Południowo-Afrykańskiej.

W całej Unii zerwała się burza protestów. Nacjonaliści odpowiedzieli groźbami i zdwojeniem patroli policyjnych. Nacjonalistyczny minister wojny Franciszek Krystian Erasmus zarządził koncentrację swych „Skietkommando“, oddziałów partyjnych, wzorowanych na hitlerowskich S.A. i S.S. W Pretorii, Durbanie, Johannesburgu, Riebeke, Bleemfontain, posyłał słuchy o gotującym się zamachu stanu, o widmie wojny domowej. W Oranie pewien farmer, potomek hardych kolonistów z nad Blood River, pisał do redakcji lokalnego dziennika: „Nadszedł znów czas, kiedy każdy burgher winien wziąć karabin i tysiąc sztuk amunicji. Któż wie, co nas czeka?“

I tylko jeden niemiecki uchodźca, który niedawno otrzymał obywatelstwo południowo-afrykańskie, znalazł pełną odpowiedź na jego pytanie:

„Znam to. Mamy dziś u siebie pierwsze stadium hitlerizmu — wolał. — To rok 1933 w Niemczech: bandy studentów rozbijające wiece opozycyjnych partii, podeptany aurytety sąd najwyższego, zbrojna milicja partyjna, apoteoza krwi i rasy, dyskryminacja, antysemityzm. Znam to aż za dobrze i dlatego — wyjeżdżam.“

Franciszek Daniel Malan — jak sam stwierdza — poświęcił swe życie zadaniu „ochrony świętej rasy burskiej“ przeciwko skalanii jej przez „czarnych“. Ten zaślepiony nieuk chciałby przekonać świat, że „Bóg

wybrał go, aby poprowadził lud swój do Nowej Jerozolimy“. Przez „Nową Jerozolimą“ Malan rozumie patriarchalną, rasistowską, Burską Republikę.

PIERWSZE kazanie pastora Malana w ojezycznym miasteczku Riebeck West poświęcone było straszliwym obrazom potępienia, na jakie zasługują wszyscy Anglicy, Żydzi i Murzyni, którzy chcą wyzuc wybrany przez Boga naród Boerów, z ich „rasowego dziedzictwa“.

Pierwszy artykuł zamieszczony przez niego w antysemickim lokalnym piśmie w Kapsztadzie, nosił tytuł „Na chwałę Bożą“.

W 1933 roku zakłada wraz z siedmioma towarzyszami „Oczyszczoną Partię Nacjonalistyczną“ — Hitler też zaczął z siedmioma ludźmi — zwykły mawiać dzisiejszy kandydat na führera Południowej Afryki.

Czołowy ideolog nacjonalistów Malana, pastor Jakobus Daniel Vorster otwarcie przyznawał, że „Pisma Marcina Lutera i „Mein Kampf“ Hitlera ukazują nam drogę ku wielkości. Afrykańczycy muszą zdobyć się na ten sam święty fanatyzm, który poruszył narodowych socjalistów w Niemczech“.

Hitlerizm skompromitował się najstraszniejszymi zbrodniami, ale w 1948 roku nacjonaliści wygrali wybory w Południowej Afryce. Co prawda pół miliona głosów było przeciwko a tylko 400 tysięcy za nimi. Ale ordynacja wyborcza krajów Unii faworyzuje wiejskie okręgi wyborcze, gdzie Boerzy są w większości. Siedemdziesiąt posłów w Parlamencie to dziś nacjonaliści. Opozycja liczy tylko 65 mandatów.

Na 14 ministrów w gabinecie Malana, dziesięciu należy do tajnej organizacji terrorystycznej „Afrikaner Broederbond“, którą w swoim czasie marszałek Smuts rozwiązał, jako „wywrotową“. Przy pomocy terroru i plutonów Skietkommando, nacjonaliści dążą do zaprowadzenia wyśnionego ideału wynaturzonej wyobraźni pastora Malana, ideału któremu na imię „apartheid“.

„Apartheid“ — znaczy w języku Boerów dosłownie „oddzielnosc“. W praktyce jest to system, który ma na celu całkowite oddzielenie białych od czarnych. Nawet w sensie terytorialnym. Specjalne, ściśle określone obszary, przewidziane być mają dla białych, inne dla Murzynów i w ogóle „kolorowych“. Oba społeczeństwa mogłyby się — twierdzi dr Malan — rozwijać w zupełnym odosobnieniu jedno od drugiego.

Pomysł taki nie jest rzeczą nową. Już w 1655 roku Jan van Riebeck, gubernator Kapsztadu, kazał zasadzić gruby kolczasty żywopłot, by oddzielić holenderskich kolonistów od tubylców. Milion mulatów, potomków tychże kolonistów i Murzynów źle świadczy o skuteczności systemu Jana van Riebeck.

Ale widoki, które roztacza perfidnie dr Malan i jego poplecznicy, są najzupełniej nieracjonalne. Cała gospodarka Południowej Afryki załamałaby się natychmiast. Pięć milionów tęgich murzyńskich robotników i robotnic jest niezbędne dla jej prawidłowego funkcjonowania. Biali o tym wiedzą. Biali potrzebują taniego i wytrzymałego robotnika.

W praktyce „apartheid“ znaczy zupełnie co innego. Malanowski „apartheid“ to 100.000 Murzynów, którzy co roku wędrują do więzień za to, że nie posiadają dokumentów takich, jakie wymaga policja danego okręgu. „Apartheid“ to sześćdziesięcioletnia Murzynka, maszerująca piechotą dziesięć mil, aby odnieść uprząż bielizną białej pani, ponieważ nie wolno jej korzystać z autobusu dla bia-

łych. To John Kumalo, weteran i bohater z ostatniej wojny, utalentowany speaker radiowy, którego policja aresztuje, bije i wypuszcza po paru dniach, bez najmniejszego wytłumaczenia. To nędzne lepianki pod Kapsztadem, gdzie gnieździ się nędza, występki i prostytutka.

W „Nowej Jerozolimie“ pastora Malana, Murzyn pracuje, ale nie ma prawa głosowania. Płaci podatki ale fundusze państwowe na szkoły dla Murzynów prawie nie istnieją. Jeśli Murzyn zachoruje, nie ma prawa korzystać z usług białego lekarza, chyba, że wejdzie pokryjomy, kuchennymi drzwiami.

„Nowa Jerozolima“ upodabnia się coraz bardziej do jakiegoś ogromnego, załosnego ghetta, przy którym straż trzymają ludzie nie wahający się nadużywać świętokradczego imienia Bożego dla osłonięcia rasistowskich praktyk, stanowiących policzek dla całej chrześcijańskiej ludzkości.

„Żydzi — powiada dr Malan — nie wiele są wari jako biali. Murzyn nie potrzebuje domu. Może z powodzeniem spać pod drzewem. Dlatego też można mu płacić mniej niż białemu“.

A przecież według ustawy z 1926 roku, znanej pod nazwą „Color Bar Act“, Murzynom nie wolno dokonywać robót wymagających pewnych kwalifikacji. Tego rodzaju prace zastrzeżone są dla białych.

SKUTKI obłędnej polityki nacjonalistów nie dały na siebie długo czekać.

Pierwszym ciosem była sankcja uchwalona przez rządy Indii i Pakistanu, ustanawiająca embargo na wszystkie towary eksportowane do Południowej Afryki. Uchwała ta powzięta została po zaprowadzeniu szeregu ustaw dyskryminacyjnych ograniczających prawa Hindusów w krajach Unii. Drogocenna juta, która jest niezbędna dla fabrykacji worków, koniecznych jako opakowanie dla towarów produkowanych w Afryce Południowej, stała się rzadkością w miastach Unii. Pewien farmer, który robotników swoich — oczywiście Murzynów — ubierał w zwykłe worki jutowe, kazał im wycinać sobie otwory na głowy i ręce, został skazany na grzywnę nie za złe traktowanie ludzi, ale za psucie cennego surowca.

Ale w samym kraju, dyktatorskie rozkazy dra Malana wywołały oburzenie, zwłaszcza wśród ludności pochodzenia brytyjskiego. Leader opozycji Strauss, jak i John Christie, przywódcą silnie zorganizowanej Afrykańskiej Partii Pracy wystąpili wspólnie przeciwko polityce dyskryminacji, terroru i gwałtu. Krewny premiera, Adolf Malan, młody lotnik, weteran bitwy o Wielką Brytanię zorganizował swych kolegów w „Związek Pochodni“ („Torch Command“), który liczy już 175 tysięcy byłych żołnierzy i oficerów. „Torch Command“ zdecydowany jest bronić konstytucji chociażby siłą, gdyby zaszła tego potrzeba.

Wreszcie rzecznik prowincji Natalu oświadczył, że kraj ten nie może tolerować dłużej polityki antykonstytucyjnej nacjonalistycznego rządu centralnego i zagroził oderwaniem się od Unii.

Nie należy sądzić by wszystkie te odruchy i protesty poddyktowane były wyłącznie sympatią do nieszczęśliwych i prześladowanych czarnych i kolorowych obywateli Unii Południowo-Afrykańskiej. Są to jednak, w każdym razie oznaki, że nawet wśród reakcyjnego społeczeństwa kraju par excellence kapitalistycznego, jakim jest Unia, rasistowskie zpedy prozoka „Nowej Jerozolimy“ wywołują zrozumiały sprzeciw i oburzenie.

Jan Pogorski

KALI

SYLWETKI Zdążeń

Saint-Simon

A portrecie nieznanego pedzła, odbijającym najczęściej wydania jego dzieł albo dzieła o nim, wygląda Saint-Simon na pięćdziesiątkę. Ciekawy profil. Włosy, podbiegłe trochę szpakami i uczesane (raczej rozczochrane) à la Titus, czoło sklepione harmonijnie, śmiały rysunek brwi i oczy, z których patrzy melancholia i zdziwienie. Nos, lekko zgjęty, długi, o długich nozdrzach, nos, co się zowie, reprezentacyjny, z małą kulką na końcu charakterystyczną dla spry ciarzy. A najładniejsze usta: łączą w linii i w wyrazie kobieca słodycz i miękkość z cechą prawdziwie męską, wytrzymałością i żelazną wolą. I nie trzeba ucałać być Gallem i po śmierci Saint-Simona papracie się w jego mózgu, żeby odkryć nieprzeznosność w zakłopotanym cofnięciu się podbródka.

Ci, których należałoby uważać za sunnitów Saint-Simonizmu, napakowali ile wzięto, cudów i cudników do jego życia. „Pochodzę od Karola Wielkiego“, pisze Saint-Simon o sobie i zawiązuje badaj interwencji cesarskiego protoplasty, że zajął się filozofią. Pewnej mianowicie nocy zjawił mu się we śnie Karol Wielki i rzekł: „Synu, twoje tryumfy w filozofii prześcigną moje w polityce“. Nie w kij dmuchał, lokaj zatem każdego ranka budził go odtąd słowami: „Panie hrabio, niech pan ustaje, bo ma pan dokonać wspaniałych rzeczy“. Dokonywanie jednak wspaniałych rzeczy żąda hartu: kiedy pokasał go pies, którego podejrzewano o wściekłość, młody filozof wypalił ranę rozżarzoną węglem i następnie nosił w kieszeni pistolet. Zastrzelił się, skoro tylko stwierdził u siebie wodowstręt. Czy z tego pistoletu pozabawi się oka, gdy nędza doprowadzi go na stare lata do ostateczności, nie wiemy. Wiemy, że był w na wozie i pod wozem. W dniach Fortuny zapraszał artystów, polityków i profesorów Szkoły Medycznej i Politechnicznej i przy winku i smacznym jadłem podniecał do uczonych rozmówek — czuł abominację typowego dyletanta do u. porządkowanych studiów i wyżej cenil mądrość żywych ludzi, niż książkową. W dniach biedy pijał wodę, do gryzał resztki zeschłego chleba. Brał kawałek na opał i wysprzedawał się z ubrań na pokrycie kosztów pracy. Lecz nosa zadzierał do góry, dumny, że jest kontynuatorem tradycji Bacona, Descartes'a, Galileusza i Newtona i że, jak oni, jest genialny. Pragnął przekazać potomstwu swój geniusz, spotęgowany przez odpowiedni związek. „Pani jesteś nadzwyczajną kobietą, ja nadzwyczajnym mężczyzną. Moglibyśmy spłodzić dzieci jeszcze bardziej nadzwyczajne“, zaproponował pani de Staël.

Pani de Staël nie skorzystała z propozycji.

Z dzieł jego natomiast, z jego prac i idei korzystało wielu i nie tylko Comte i Spencer postarali się zapamiętać, że Henryk de Saint-Simon to właściwy autor wielu ich koncepcji. E. drobiazgi. Nie wszczymajmy sporów rewindykacyjnych. Na pewno nie były by po myśli Saint-Simona, altruisty, dla którego istniał nie człowiek, nie odosobnione indywidualium, a społeczeństwo. Wszyscy ludzie, uczył, są braćmi i wszystko ma służyć wszystkim, dobru wszystkich, lepszymu urządziwu świata, coznajowi cywilizacji i odbudowie religii w harmonii z wiedzą i filozofią.

Szczęście człowieka zborowego. Idea, która ożywia najwartościowsze porjany filaretów i rodzi mokiewniczość „Ode do młodości“ u Saint-Simona ma podkład pozytywowy, nawiązujący do postulatów nauki, a z punktu widzenia ogólnego po dziś dzień wartościowy, chociaż w szczegółach traci już myślką.

Kali.

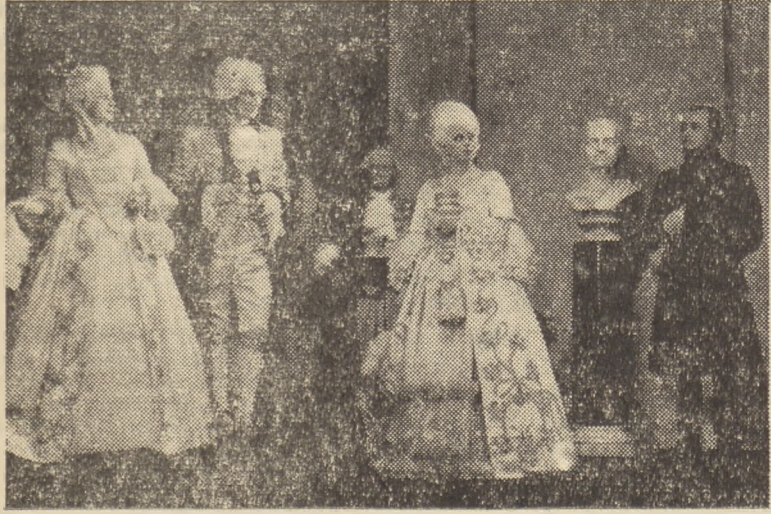
„Książki dotyczące polskiej sztuki ludowej kupi Dział Książki K. U. L. Zgłoszenia kierować: Katołicki Uniwersytet Lubelski Dział Książki Lublin Al. Raławickie 14“

Państwowa Średnia Szkoła Muzyczna Nr. 3 im. K. Kurpińskiego w Warszawie, ul. Wiejska 19 przyjmuje zapisy na rok szkolny 1952/53 na wydział instrumentalny, wokalny, instruktorski, rytmiki, do dnia 23.VI.52 r. i dodatkowo od dnia 24—31.VIII.1952 r. Sekretariat Szkoły czynny jest od 9 do 16-tej.

Edmund MISIOŁEK

»Król i aktor« w Warszawie i Poznaniu

BOGUSŁAWSKI, którego Roman Brandstaetter obrał bohaterem swego nowego utworu scenicznego, miał życie bujne i pełne twórczych dokonań, a jego epoka, epoka polskiego Oświecenia, obfitowała w wielkie dążenia i dramatyczne konflikty. Brandstaetter, pisarz o dużej kulturze oraz nie mniejszym wyczuciu historii i... sceny, umiał zarówno z życia artysty jak i z epoki wydobyc momenty istotnego napięcia i wysokiej ideowej wartości.



Scena zbiorowa z „Króla i aktora” R. Brandstaettera w warszawskim Teatrze Kameralnym. Reżyseria: J. Warnecki, dekoracje: J. Kosiński, kostiumy: Z. Węgierekowa. Na zdjęciu od lewej: A. Rolandowa (Malogoska), Wł. Hańcza (Ryx), K. Lubieńska (Vauban), M. Maciejewski (Staszic).

Bogusławski poznał postępowy teatr, teatr ks. Konarskiego, w warszawskim kolegium pijarów i pod wpływem rozbudzonego zamilowania wstąpił do trupy Montbruna. Oburzona tym rodzina wyrzekała się go wtedy zupełnie i już w 21 roku życia przyszedł dramaturg i reżyser, organizator i wychowawca narodowego teatru zerwał ze swym dotychczasowym środowiskiem. Brandstaetter ukazuje w jednej ze „scen dramatycznych” „Króla i aktora” te bardziej osobiste warunki i pobudki postępowej działalności Bogusławskiego, pozwalając widzowi odczuć, jak wiele przyczyn składało się na to, że w tym okresie tyle indywidualności artystycznych skłaniało się ku radykalizmowi społecznemu. Autor wzmacnia jeszcze wymowę momentu biograficznego wprowadzając — zgodnie z wersją o miłości do Marianny Tyszkiewiczowej — motyw uczucia dla dworskiego dziewczęcia i konfliktu między tą miłością a powołaniem oświeconego artysty. Ten motyw osobisty, choć wprowadzony tylko w jednej scenie, zakończony rozstaniem z ukochaną, ogromnie ożywia dramat, równowagę szczęśliwie rozbudowany w nim element społeczny.

Lecz Brandstaetter umiał i historyczną podbudowę swego utworu podać w sposób nawskroś sceniczny. Wołót zasadniczej osi dramatu: walki o scenę narodową skoncentrował konflikty, istotne dla przedstawianej epoki, a wyrażone w dialogu, na przemian intelektualnie błyskotliwym i gojącym społeczną żalliwością.

W rozmowach aktora z królem Stanisławem Augustem przewija się w kameralnych wymiarach konflikt dwóch pojęć o sztuce i jej stosunku do życia: dla Króla jest sztuka ucieczką, dla Bogusławskiego — walką. W przedstawieniu tak ujętym odczucia Króla stoją już może bliżej, niż to było rzeczywistości, odcznie ludzi salonów za reakcji napoleońskiej, jednak walący charakter sztuki Oświecenia odsłania się silniej w takim kontraście. Również motyw czytania „Hamleta” — granego rzeczywistości w roku 1797 przez Bogusławskiego — rozwinęty jest w duchu może już bliższym odczuciu romantycznemu, a przecież, każąc po królu-estecie zacytować słynny monolog artysty-bojownikowi, uzyskuje Brandstaetter

znakomity efekt dramatycznego crescendo.

Polityk gra swą rolę na tronie chwiejnie, ucieka od rzeczywistości ku smakoszostwu estetycznemu czy... ku lincarnemu (pointa sceny „Hamlet i baranina”), podczas gdy zaangażowany artysta jego czasu realizuje czynem swą wiarę w jedność sztuki i życia, poezji i działania. Ta wiara jest może najsilniejszą dominantą „Króla i aktora”.

Zapytany przez Króla o treść swjej

W tej najściślej związanej z historią, o najwyższym ładunku ideologicznym, części utworu Brandstaettera najwięcej też na pewno czyha zasadzek na dramatopisarza. Zasadzkami takimi są: deklaratywny ex post, pokusa przesadnej aktualizacji, aprioryczność syntez historycznych. Mogą być one niebezpieczeństwem dla realizmu dzieła: dla psychologii postaci, charakteru sytuacji, w jakie wchodzi one ze sobą na scenie, nawet dla ich słownictwa i języka. Niewątpliwie, do pewnych granic stanowią to wyróżnik dramatu historycznego jako gatunku, że słowa postaci bardziej tu ważą i brzmią donośniej niż w kameralnej sztuce współczesnej. Że znakomity aktor przemawia do króla czy wybitny ksiądz-reformator do ks. Józefa śmielej, niż naprawdę przemawiali w życiu. A jednak słowo „kultura”, jak go tu używa Staszic, czy Bogusławskiego słowa do Króla, strawestowane z powiedzenia Schumannna o Chopinie: „Chcę, by z narodowej sceny grzmiały armaty”, czy wreszcie końcowe, w rozmowie aktora z królem, „widzenie wolności”, z barykadami, zwróconymi przeciw... królom — nie posiadają pełnej motywacji historycznej.

Wielki umiar artystyczny pozwolił przecież Brandstaetterowi ominąć większość trudności, jakie nastroczał rodzaj historyczny widowiska. Powstały w rezultacie wariacje dramatyczne, oparte przede wszystkim na dialogach, nienagannie zamknięte kompozycyjnie, choć raczej w ramach poszczególnych scen, wariacje czasem pełne dowcipu, owego prawdziwie ośmnastowiecznego „esprit”, kiedy indziej znowu o silnym dramatycznym nastroju, zawsze nawskroś scenicznie pomyślane w sytuacjach i uwiecznione trafną pointą, wreszcie podane językiem i stylem prawdziwego poety, antyteatycznym, epigramatycznie wziętym, nierzadko nabrzmiewającym liryzmem. Piękności „Króla i aktora” są liczne i wysokiego rzędu, górują też nieporównanie nad niedociągnięciami. To, że Brandstaetter tak zwycięsko na ogół podolał trudnemu tematowi historycznemu, potwierdza jedynie jego wyjątkową rangę wśród naszych dramaturgów.

PRZED reżyserami „Króla i aktora” stawały dwie główne trudności: Pierwsza wypływała z niezupełnego realizmu tego utworu, z pewnego niezdecydowania czy dwubieżności intencji autorskiej, wahającej się między ujęciem wiernie historycznym a innym bardziej umownym i poetyckim: Brandstaetter nieraz dla dowcipnej pointy czy dla dramatycznego efektu poświęcił realizm i powagę historyczną (np. sprawa z obrazem Caravaggia). Druga trudność polegała na wspomnianym już przesunięciu stylu i psychologii postaci nieco w kierunku romantycznym: większość tych postaci przeżywa na scenie swoje wewnętrzne łamania, rozdwojenia, hamletyzmy w tonacji nastrojowej trochę wyprzedzającej przedstawioną epokę.

Jak sobie poradzili z tym reżyserzy prapremiery warszawskiej i przedstawienia poznańskiego?

Zacznijmy od Poznania, gdzie w Teatrze Nowym Adam Hanuszkiewicz przygotował rzecz w ramach swego warsztatu reżyserskiego, grając równocześnie rolę Bogusławskiego. Reżyser poznański dążył ambitnie do maksymalnego oddania artystyczno-literackich wartości dzieła, nie chciał wyrzec się pewnych ujęć skrótych oryginału ani jego poetyckości, a nawet pewnego idealizowania i posagowości. Zaznaczyło to się najwyraźniej już w samej interpretacji swej roli przez Hanuszkiewicza, uderzając i niewątpliwie świadomie statycznej, opartej niemal wyłącznie na słowie i mimice, z najdalej posuniętym eliminowaniem ruchu i gestu. Wydaje się,

że na Hanuszkiewicza ciążyła też jeszcze sugestia jego niezbyt dawnej roli Hamleta. Tu wypadł raczej jako postać literacka aniżeli żywy człowiek.

Większość ról historycznych pierwszego planu poetyzowała również swe postacie, odwrotnie Branicki, czarny charakter, przywdział nawet czarną pelerynę. Król Z. Relskiego, utrzymany może w zbyt jednolitej tonacji zniekania, pragnienia spokoju, miał momenty interesujące, choć za mało chyba podkreślił w swej roli umiowanie gestu i pozy. Wspomnienie z Wawelu ujął zbyt serio, aby w zestawieniu z nim przekorna, „dieprzna” pointa sceny „Hamlet i baranina” mogła nie stać się zgrzytem. W ogóle całe przedstawienie przy starannej robocie aktorskiej cechował wewnętrzny rozdźwięk: młodemu reżyserowi, który bynajmniej nie ułatwiał sobie zadania mniej artystycznymi środkami, nie udało się po prostu przezwyciężyć trudności, które w pewnym stopniu nasuwał sam utwór. Brak było przedstawienia jednolitego, współbrzmiejącego z epoką stylu. Tylko przedstawiciele świata kosmopolitycznego z najbardziej konsekwentnie potraktowaną i dobrze zagraną rolą Vauban (Kr. Salaburska) i Ryxem (St. Orzechowski) wypadli przekonująco i górowali nad odpowiednią obsadą warszawską.

Dekoracje Zb. Bednarowicza, nie rozwinięte w głąb sceny, nie tworzyły właściwych ram dla widowiska.

REŻYSERIA warszawska Janusza Warneckiego w Teatrze Kameralnym ominęła w zasadzie szczęśliwie zarysowujące się trudności reżysersko-inscenizacyjne i przezwyciężyła grożący przedstawieniu dualizm ujęcia. Warnecki dążył wyraźnie do sprowadzenia wszystkich jego partii, również bardziej poetyckich, na wspólną płaszczyznę realizmu i historycznego prawdopodobieństwa. Już drobne zmiany i przesunięcia w tekście z powodzeniem ku temu zmierzają. Pomagano też sobie rekwizytami, podkreślano starannie realia poszczególnych scen: w pierwszej roztoczono bogactwo rokokowego sprzętu kosmetycznego Ryxa, w dalszych dochodziła nas taneczna muzyka z głębi, w scenie w garderobie teatralnej nadto i oklaski z widowni. Starał się wreszcie Warnecki zapobiec deformacjom romantyzującym w grze aktorskiej, przytłumił przerosty nastrojowości i liryzmu, aby uzyskać w ten sposób styl właściwy epoce.

Bogusławski M. Mileckiego nie był więc efektywny, przeciwnie, był raczej niepozorny, za to poważny, niemal surowy i tylko zacięte usta zdradzały upartą wolę i ambicję narodowego artysty. Patos tej postaci był tutaj patosem człowieka nie tylko czującego — scena miłosna wypadła zresztą raczej papierowo — lecz bardziej może jeszcze myślącego i działającego. Był to niewątpliwie człowiek Oświecenia.

Al. Żabczyński w roli Króla wykazał tym razem znaczny umiar. Czy nie za mało czuło się w nim jednak króla? Był aż zanadto zakochanym w sobie Narcyzem, lecz jego słowa zdawały się nie mieć wagi. W. Gliński (ks. Pepi) zużył sporą część swego wysiłku artystycznego na utrzymanie maski wzorowanej na znanym, przesłodzonym portrecie Grassiego — trzeba przyznać, udało mu się to nadzwyczajnie, ale czy nie kosztami właściwej gry? Obronną ręką wyszedł z niezbyt wdzięcznej, będącej długim monologiem roli ks. Staszica — M. Maciejewski.

Duża różnica zaznaczyła się między Warszawą a Poznaniem w ujęciu roli Doroty. H. Górzyńska w Poznaniu stworzyła niemal pozytywną postać sentymentalną. L. Castori w Teatrze Kameralnym, odwrotnie, dokonywała niemalych łamańców, wydających się wprost niekiedy złym ak-

torstwem (zwłaszcza w dykcji), aby ukazać Dorotę jako afektowaną, pretensjonalną gąskę.

Reżyseria Warneckiego uniknęła dualizmu ujęcia, zastąpiła go natomiast innym dualizmem, którego tekst bynajmniej nie upoważniał: O ile realistycznie i poważnie ukazany został w przedstawieniu świat postaci polskich, nawet ze zdrajcą — Hetmanem (A. Łodziński nie dał mu jednak tylu odcieni co swemu znakomitemu Wurmowi w „Intrydze i miłości”), o tyle towarzystwo kosmopolityczne zarysowano z zbyt silnym odcieniem satyrycznym. Zapewne, historia nstawia go w świetle korzystnym, można jednak nie wątpić, że panowie ci i damy umieli nieźle utrzymywać pozory, nawet wzajemnie między sobą, jeśli trzęśli dworem królewskim. Tymczasem np. Ryx Wł. Hańcza był już po prostu przeczerzonym do ostatnich granic w mimice, dykcji, geście i o odrażającej powierzchowności międzynarodowym opryskiem. Podobnie przerysowane były mimika, ruch i gest Tremo (H. Małkowski) czy scena popłochu wśród dam na wieść o wybuchu rewolucji. Chodzi tu na pozór tylko o odcienie, ale odcienie te decydują w sumie o realizmie spektaklu. Dyskretniej ujął swą rolę St. Żeleński jako Bacciarelli, natomiast usterki w grze K. Lubieńskiej jako margr. Vauban — szczególnie rażące w scenie z Ryxem — dotyczyły już sprawy stylu tej postaci, która nie była ani Francuską, ani arystokratką, ani przedstawicielką okresu rokoka.

Dekoracje J. Kosińskiego mniej sugestywnie niż zazwyczaj u tego scenografa oddawały właściwości architektury wnętrza epoki stanisławowskiej.

MIMO zastrzeżeń szczegółowych, przede wszystkim przedstawieniu warszawskiemu udało się wytyczyć w istotnych rysach właściwie linię realizacji ostatniego dramatu Brandstaettera. Dramat ten, poświęcony zagadnieniu unarodowienia polskiego teatru, stanowi cenny i aktualny wyraz łączności, nawiązywanej



Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu, „Król i aktor” Romana Brandstaettera. Na zdjęciu A. Hanuszkiewicz w roli Wojciecha Bogusławskiego. Foto. C.O.P.A.

dzisiaj z wielką epoką polskiej kultury i postacią wybitnego artysty. „Ojciec sceny narodowej”, którego twórczość sceniczna (np. przy reżyserii „Powrotu posia” czy „Krakowiaków”) była niejednokrotnie bezpośrednim czynnem politycznym zyskał sobie aż nadto wiele tytułów do pamięci potomnych. I nie dziwnego, że sceny dramatyczne Brandstaettera gorąco przyjęta zarówno publiczność stolicy Wielkopolski, która Bogusławskiego wydała, jak Warszawy, w której stworzył podwaliny narodowego teatru.

Edmund Misiołek

Leszek PROROK

TŁUMACZ W TERENIE

WYJAZD pisarza w teren dla pogłębienia studiów środowiska i zagadnień, o których pisarz zamiera pisać, nie tylko nie dziwi nikogo, lecz stał się powszechną praktyką. Rzucony swego czasu dalszy postulat — wyjazdu krytyka w teren i takich samych jak pisarskie studiów, jako rekonstrukcja, telnej i prawdziwie pomocnej pisarzowi krytyki, wywołał swego czasu ożywioną wymianę zdań. Szusność tego postulatu została w końcu przyjęta, w praktyce jednak krytycy nie nadążają z wyjazdami w teren za swymi kolegami. Nikt do tej pory w rzędzie pracowników plóra, dla których twórczości i pracy bezpośrednia styczność z różnym mi dziedzinami życia ma doniosłe znaczenie, nie zaliczył tłumaczy.

Tłumacz w terenie — zagadnienie to postawiła w oparciu o własne, konkretne doświadczenia Maria Janina Sypniewska, zagajając na posiedzeniu Sekcji Prozy ZLP w Poznaniu w dn. 4.VI, br. dyskusję o przekładach.

W przekonaniu laika tłumacz jest człowiekiem, którego jedyną narzędzie zawodowe stanowi gruntuwna znajomość języka obcego. Ten i ów słowny jest dorzucić do

pisarskiego warsztatu tłumacza na rzedzie pomocnicze — słownik, Koncesja ta prowadzi do nieporozumień. Zdarzają się jeszcze niestety i dziś tłumacze, których można by określić wyczerpująco mianem „po siadaczy słownika”. Kartkują go pracowicie, wyraz po wyrazie, spruwadając przekład do językowej szarady, o stopniu zmechanizowania pracy niewiele mniejszym od przepisywania na maszynie. Zapewne ten typ tłumaczy wywołał w czasie jednej z wcześniejszych dyskusji poznańskich protest przeciwko tłumaczowi „ze słownikiem”.

Protest ów padł z ust historyka literatury, przyzwyczajonego do obcowania z klasykami. Przekłady klasyków w większości wypadków wymagają tylko mistrzowskiego opanowania literackiego języka obcego oraz niemiejszej biegłości i poczucia stylu w języku rodzinnym. Jednak rozszerzający się szybko zakres tematyczny literatury współczesnej, rozrost gatunków pisarskich, kładące szczególny nacisk na prawidłowe oddanie realiów, jak np. reportaży, żądają od tłumacza znajomości różnicowanego języka wielu środowisk,

branż i zawodów, w znacznie wyższym stopniu, niż mogą to zapewnić słowniki, a nawet encyklopedie i specjalne kompendia. Stawiane literaturze coraz powszechniej wymagania aktualności i nadążania za życiem sprawia, iż współczesne dzieło literackie w uchwyceniu formujących się pojęć wyprzedza słowniki, które ogarniają przecież wyrazy już utrwalone w mowie, podczas gdy dzieło literackie nie raz je współtworzy. W warsztacie dzisiejszego tłumacza nie tylko słownik, lecz również zasobna biblioteka leksykonów stanowi nieodłączny garnitur narzędzi. Jasne jest jednak, że często nawet najbogatszy zasób tych narzędzi okazał się niewystarczający dla szczególnie precyzyjnej czy rzadkiej roboty. Nieraz tłumacz jeśli chce dać pełny przekład, musi się wdzierać w gąszcz życia z niemniejszą gorliwością niż powieściopisarz czy reporter. Od tych ostatnich różni go niestety to tylko, iż na ogół mało kto docenia potrzeby tłumacza.

Ilustracją tej słusznej tezy stały się perypetie językowe M. J. Sypniewskiej w pracy nad ukończonym już przekładem „Moskwińców”, zbioru 14 reportaży i opowiadań z moskiewskich zakładów pracy. Oddanie charakteru opowiadania, pełne wydobycie tła i nastroju, wymaga wiernego odbicia wielu wyrażań branżowych, dla których brak odpowiedników nawet w słownikach technicznych. Do każdego z krótkich opowiadań tłumaczka musiała przeprowadzić wstępne studia, wpytuując znajomych inżynierów, techników, robotników, o znaczenie i synonimy: „Łodygi”, lub „klamry” czy o funkcje śruby mikronowej. Najwięcej kłopotu przysporzyła opowieść o budowie moskiewskiego metra. Kołaje podziemne są u nas pionierską gałęzią budownictwa. Nie zdążyły wytworzyć swego branżowego słownika w całości, Operują często wyrazami obcymi, powierzchowo nie spolszczonymi. Właściwy ich sens za w Polsce nieliczna garstka fachowców. Trzeba się z nią zetknąć, by odcyfrować żeliwne tubingi, pierścienie, płyty, tunele i różne tajemnicze zwroty; trzeba też natrafiać na zrozumienie i życie słów. Sprawa jest ważna. Zależy od niej jakość przekładu, gdyż takie czy inne zrozumienie szczegółów technicznego, pozwala poznać subtelności akcji czy opisu.

Dobry tłumacz powinien zatem w taku przekładów, które tego wymagają, odbywać studia terenowe. Nie mogą o tym zapominać ani czynniki literackie, ani instytucje wydawnicze. Pobyt tłumacza w terenie przynosi nadto terenowi dodatkową korzyść — możliwości prelekcji czy gawędy na temat wybitnych dzieł piśmiennictwa obcego, które tłumacz zna i z którym jest związany.

Szeroka dyskusja pogłębiła analizę walorów i możliwości pracy oraz studiów tłumacza w terenie. W rzędzie dalszych ciekawych zagadnień poruszono b. istotną sprawę wpływu wartości oryginału na wartość przekładu. Tłumacze po nauce stwierdzili zgodnie, iż dobre książki łatwiej się tłumaczy. Literacki prymityw budzi w tłumaczu konflikt między obowiązkiem wierności przekładu, a koniecznością poprawy nieudolnego dialogu, narracji, błędów sensorycznych itp. Niezależnie od braku artystycznej satysfakcji, jaką daje przekład, prowadzi to z reguły do tłumaczeń słabych.

W zakończeniu zebrania omówiono trudności tłumaczy prowincjonalnych w uzyskiwaniu przekładów, jak też niezadowolająca często prace adiustacji — brak wytycznych i sprecyzowanych ram. W kompetencji działania adiustatorów, często ludzi młodych bez doświadczenia literackiego, zaczyna się swą działalność od nagiętego poprawiania i przerabiania bezbłędnych nawet, prawidłowych partii przekładu.

L. Prorok

WIECZORY POD LIPĄ

Ludzie „najlepszej woli”

— Europa, ta biedna Europa...

Senator Blockhead westchnął boleśnie, a wtedy westchneli chórem siedzący po drugiej stronie jego biurka trzej panowie: Mr Sharper, Mr Plunder i Mr Brigand. Senator uznał z kolei za stosowne pokiwnąć głową w sposób wyrażający głęboką troskę i szczerze ubolewanie. Głowy gości pochylały się również, ale na dźwięk pierwszych słów dostojnego gospodarza podskoczyły do góry.

— Panowie — zaczął Mr Blockhead — wezwał was do siebie w sprawie ogromnej wagi...

„Tu przerwał”, jak mówi poeta, i powiódł okiem po twarzach swych gości. Gdy spojrzenie jego padło na oblicze Mr Plundera, nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni, by sprawdzić, czy portfel znajduje się na właściwym miejscu.

— Panowie, jesteście Yankesami, YANKESAMI, panowie! A to nakładna na nas wielkie i trudne, ale zarazem... no... tego... zaszczytne obowiązki. Nawet w gazetach tak piszą. I prezydent Truman tak mówił. I generał Mac Arthur. I Taft. Tak się mówi, panowie: obowiązki... Nno, taak... Bo my, Yankesi, jesteście najbogatszymi, najpotężniejszymi, najszlachejniejszymi i naj... tego... najkur... no... najkulturalniejszymi narodem, panowie. I dlatego właśnie, panowie, spadają na nas te... no... wiecie...

— Obowiązki — odpowiedział szepsem Mr Sharper.

— O właśnie, Mr Sharper, właśnie! Jak pan to trafnie ujął! Ja zawsze miałem pana za antynte... to jest... za intelektualistę, Mr Sharper. U nas, w Revolver City, do dziś opowiadają sobie o tym, jak to pan obrócił do góry nogami Donkeya i jeszcze wpakował go do kryminat... Ha ha ha! Pan ma głowę, Mr Sharper! Zebym to ja miał taką... No, ale wracajmy do rzeczy.

Tu senator znów przerwał i znów powiódł okiem po zebranych. Przez chwilkę milczał, gdyż widok twarzy Mr Briganda zakłócił tok jego myśli. Przyszło mu do głowy, że jego kasa ogniotrwała jest właściwie muzealnym zabytkiem i że zżeczny włamywacz zabawił się z nią w przesiadku kwadransu. Ale senator Blockhead opanował się szybko i wrócił do przewidywanego wywodów.

— O tak, panowie, z Europą jest źle! Sam Ridgway mi mówił. „Senatorze, powiedział, cholera nie Europą! No, to, panowie, my musimy ją... tego... ratować. My ją już nawet jak możemy jak ratujemy. I to się nawet nieźle opłaca. Opłaca się... Ale nie mnie. Mnie powiedzieli: „Blockhead, takiego drugiego diavla jak ty to nie tylko w senacie, ale nawet w całej twojej sakramenkiej Arizonie trudno byłoby znaleźć. Ty się do żadnej poważnej roboty nie nadajesz”. I zrobił mnie przewodniczącym senackiej komisji do spraw... żeby ich diabli, te całą lajdacką bandę!... do spraw... kultury!

Jęk grozy i oburzenia wydał się z pierwszych gósi senatora.

— Drwianie! — zawarczał Mr Plunder.

— Co za świnstwo! — wypił z siebie wstrząśnięty do głębi Mr Sharper.

— Ja to bym z nimi... — zaczął Mr Brigand podnosząc do góry swoje obrzynie, czerwone łapska boksera i oglądając je uważnie. Senator po patrzył nań z niesmakiem.

— Mr Brigand, ja na pańskim miejscu nie afiszowałbym się zanadto z takimi łapani. Niby to sąd o rzekł, że Joe Walker uławił się próbując polknąć orzech kokosowy, ale błął co bądź ślady palców na szwi były... Zresztą mniejsza o to No, tak, tak... Stare historie... Romantyczne przynady... Każdy w młodości marzył... Tak, tak, panowie... Jeden przy dostawach broni, drugi przy wycinaniu handlowej, trzeci przy pomocy dla uciskniomnych febrzykantów z Europy wschodniej, a ja przy tej... kulturze... I to się teraz w Ameryce nazywa demokracją! I wyduń z tego choć jednego dolara... Z tej kultury, mówię. Ale, panowie, Blockhead też jest Yankes i też chce — pomagać Europie! I będzie pomagał! A panowie razem z nim!

Jestem przewodniczącym senackiej komisji do spraw kultury? Jestem. Musieli, że ta... kultura to żaden business? Yankes ze wszytkiego potrzebują zrobić business. Nawet z tej ich „kultury”.

Europa, panowie, stary kraj, zacofany. Oni też mają jakas tam swoją kulturę. I to ich gubi. Taka starzyna, panowie! Od tej starzyny się gubiej, głupiej i nie mogą podciągnąć się do naszego poziomu, do naszej kultury, do tej nowej, prawdziwej kultury made in U.S.A.

Otóż to panowie! Otóż to! Obowiązek, miłość bliźniego i tak dalej. Trzeba ratować Europę! Od starych kon-

serw choruje się a nawet umiera. A stara kultura to jak stare konserwy: trucizna i już. Tak, panowie, my musimy dać Europie nie tylko pomoc materialną, ale także duchową, moralną. My musimy ocalić Europę od tej starej, zacofanej kultury i wprowadzić na to miejsce naszą. Tak jest!

W tym momencie oczy Mr Sharpera zaśnieżył blaskiem nagłego zrozumienia, a gęba jego rozciągnęła się od ucha do ucha w radosnym uśmiechu. Senator zaś pochylał się ku przedowi, rozpart szeroko na biurku i ciągnął dalej:

— Czego tam oni w tej Europie nie mają! Obrazy, rzeźby, książki, diabli wiedzą co. I to jest ta... kultura. A dla mnie i dla was, panowie to jest business. Bo ja, panowie, zorganizowałem Komitet Pomocy Kulturalnej dla Europy.

I płonącymi entuzjazmem oczyma wpał się w swoich gości.

— Rozumiecie? Nie? To ja wam wytłumaczę w czym rzecz. Teraz często ten i ów przywozi coś z Europy. Na przykład obraz. I bierze za taki obrazek grube pieniądze. Ale to tak nie można. Po pierwsze: to jest detal a nie hurt, po drugie: co ja, przewodniczący senackiej komisji do spraw kultury, mam z tego? Nic. Tu trzeba podjąć akcję na wielką skalę. Wpakuje się w interes milionowy, ale miliony także będą się zbijać.

Trzeba wysłać do Europy paru zdolnych, energicznych ludzi i niech oni ratują ten biedny stary świat od złych wpływów przestarzałej kultury. Muzea, rzeźby, obrazy i takie tam różne dyrdymalki wykupić albo, jak się uda, dostać w podarunku (He, co Mr Brigand? Co Mr Plunder?) — i do Ameryki. A tu za to wszystko zapłać prawdziwymi dolarami.

Tamci w Europie mają też jakąś swoją literaturę. Córnka nawet coś czytała kiedyś. Takie jakieś z francuskiego tłumaczone. Tej literatury nie ma tu po co wieść, bo na co nam stare papierzyska? Ale mądry człowiek i z tego zrobi business. Pośle się tam kogoś z głową na karku (myśle o panu, Mr Sharper) i da mu się do pomocy paru takich, co znają obce języki. Oni tę literaturę przeczytają, ocenią i przerobią na nasz amerykański gust. Potem stare banialuki pójda do pieca, a zostanie tylko ta zdrowa, moralna literatura euroweuropejsko-amerykańska. Żeby w Parryżu czytali to samo co w Arizonie. Żeby taki Anglik czy Francuz poczuł się nareszcie równy kulturą Yankesowi z Oregonu czy Nowego Meksyku. I żeby nie napychał kieszeni europejskim wydawcom, którzy go karmią zapleśniałą staryzną.

Oto, panowie, mój program. Oto plan pracy Komitetu Pomocy Kulturalnej dla Europy. Co wy na to?

Trzej panowie porwali się z nieprzytomnym, ekstazyfikującym rykiem zachwyty ze swych miejsc i zatańczyli w gabinecie senatora wojenny taniec Siowobów. Senator patrzył na nich przez chwilę z pobłażliwym, serdecznym uśmiechem. Potem pochylił się, wydobyl z biurka cztery szklanki i butelkę coca-cola.

— Please!

Panowie wyławszy bojowy okrzyk Komanczów sięgnęli po napełnione szklanki.

— Tak, panowie! Żyj i daj innym żyć! Reka rękę myje, noga nogę wspiera. Jedziecie do Europy, aby dźwignąć ją z upadku i odrodzić kulturalnie. Pamiętajcie wobec tego: dwadzieścia procent czystego zysku dla mnie. A nie próbujcie kantować! Nie myślcie, że wybrałem was ob tak sobie, O każdym wiem coś nieweso. Dokumenty i różne papierki leżą w moim safie. Starajcie się, żeby im ich nie musiał zanieść do prokuratora. Żaden z was nie wymygił się wtedy mniej niż dziesięciu latkami. Zrozumiano, boys?

— Yes, senator!

— No, to pamiętajcie! Zaraz wypiszę wam czek na kosztę podróży i wyjazdów na to, a mój sekretarz załatwi imie formalności. Ale, Mr Sharper, uprzedzam, że jeśli na którymś z tych czeków przyznosnie choć jedno zero, te papierki z mojego safu wędrują natychmiast do prokuratora.

— Pan mnie przecenia, panie senatorze.

— No, no, stary łobuzie, nie przyznawaj się o komplementu! Ale pamiętajcie wszyscy: stosunki nasze muszą być aparte na uczciwości i wzajemnym zaufaniu. Musimy wobec siebie postępować tak, jakbyśmy byli... tłu... chciałem powiedzieć: jak ludzie honoru. Good by, boys!

— Good by, senator!

Bogumił Koles

AKTUALIA

COROCZNIE w maju organizowane Dni Oświaty, Książki i Prasy dostarczają wielu miłych niespodzianek obserwatorom wlotry i półek księgarskich. Wydobyte z zakamarków — ukazują się tomy przemysłnie dotąd zakonserwowane obok pozycji zupełnie nowych, świeżością tytułów i okładek radośnie uderzających oczy. Trudno się oprzeć pokusie choćby pobieżnego odnotowania tych „aktualii”, które wydają się najbardziej atrakcyjne.

Wypada zacząć od książek traktujących o... książkach. Najpoważniej reprezentuje je tom poświęcony pamięci Kazimierza Piekarskiego („Studia nad książką”, Wrocław MCMLI, Wyd. Zakł. Nar. im. Ossolińskich) przynoszący szeregiem bardzo ciekawych studiów, zwłaszcza w części drugiej i trzeciej — z zagadnień księgoznawczych oraz z pogranicza nauki o książce, podpisanych między innymi tak wybitnymi nazwiskami jak: Bodecki, Birkenmajer, Brahmer, Budzyk, Julian Krzyżanowski, Mikulski czy Muszkowski — Wyszła także niedawno (w drugim, rozszerzonym wydaniu) znana książka wymienionego właśnie Jana Muszkowskiego pt. „Życie książki”. Bardziej popularzatorska w założeniu, mimo to wartościowa jest wreszcie książka Józefa Gryczy: „Z dziejów i techniki książki”, w zwiezły sposób podająca wiele konkretnych wiadomości z tego zakresu, opartych bogatym działem umiejętnie dobranych ilustracji.

Należy też chyba zwrócić uwagę na dwie pozycje bibliograficzne: pierwszy zeszyt XXXIV tomu Bibliografii Estreichera oraz na niebyle jaką nowość: „Bibliografię ekslibrisu polskiego” opracowaną przez Zygmunta Klemensowicza (lata 1874 — 1948), uzupełnioną przez Helenę Lipską do roku 1950!

W dziale literaturoznawstwa entuzjastycznie witamy możliwą znowu do kupienia książkę prof. Kazimierza Wyki „Cyprian Norwid — poeta i sztukmistrz” oraz drugi tom „Studiów z historii i teorii weryfikacji polskiej” Marii Dłuskiej. — Osobnych kilka słów domaga się poświęcony tom wybitnego historyka kultury — Stanisława Łempickiego — „Renesans i humanizm w Polsce”. W skrótnie określonych podtytułem „Materiały do studiów” rozprawkach znajdziemy cenne sronice poświęcone problemom renesansu europejskiego w ogóle, z zagadnień zaś ściśle z Polską związanych — szkice o Kochanowskim, Janie Zamojskim i Szymonowiczu nie powinny uciec niezauważonej. (Ma się tylko o choćby zauważyć w tym miejscu, że jakiś pedant-bibliograf z trudnością wybrnie z kłopotu wciągająca tej książki do swego rejestru: na okładce zewnętrznej czytamy datę wydawniczą 1951, podczas gdy wewnątrz tomu — 1952! I jeszcze — ten papier, westchnięcie jakiś bibliofil, taki podły...). Zastrzeżeń takich nie budzą za to dwa tomy Studiów Historyczno-literackich wydawanych przez IBL pod redak-

cją Jana Kotta. Są to: „Wekół Trylogii” pióra wszechstronnego chyba Samuela Sandlera i „O marksistowskiej teorii literatury” wybijającego się coraz bardziej młodego naukowca — Henryka Markiewicza.

Z beletrystyki — zasługuje na wzmiankę wznawianie wspomnianych utworów wieku XIX, utworów o zacięciu satyrycznym. Tak więc, po dawniejszym już „Panu Staroście” Skarbka, zauważają się dają obecnie dwie książki zrośnięte środowiskowo z Galicją: „Rozmowa w salonie” Józefa Dzierżkowskiego oraz kapitalny „Koroniarz w Galicji” Jana Lama, poprzedzony sumiennymi wstępującymi prof. St. Arnolda i dr St. Frybesa.

Wśród reedycji niewątpliwych już klasyków — obok nowego Czytelnikowskiego wydania dzieł Żeromskiego (od kilkunastu tygodni dostępne są „Popioły”, „Ludzie bezdomni” oraz całość „Walki z szatanem”) szczególne zainteresowania wzbudzają „Chłopi” Reymonta. — Dostarczamy również tom „Nowel wybranych” Prusa, zawierający 12 najbardziej znanych utworów. Właśnie! Tu zapytanie: czemu zawsze ten sam kanon? Czy nie warto by spopularyzować pomijaną zwykle nowelę — arcydzieło tego gatunku literackiego — „Z legend dawnego Egiptu”?

Wśród nazwisk pisarzy współczesnych — sensacją jest nowy wybór wierszy Juliana Przybosia: „Rzut picinowy”. — Na półce z prozą — mylący tytuł (autor nie od dziś lubi igrzać z czytelnikiem!) także się cieszyć nowym grubym tomem Adolfa Rudnickiego. Tymczasem do „Żywego i martwego morza” weszły tylko trzy opowiadania nie objęte dotychczas wydaniem książkowym. Reszta — to wznowienie „Szekspera” w całości i „Ucieczki z Jasnej Płany” z wyjątkiem (szkoda) utworu tytułowego. Ale i tym się cieszymy, zwłaszcza, gdy poinformuje nas autor w przedmowie, że jest to pierwsza próba uporządkowania utworów mających kiedyś wejść do całego cyklu „Epoki Wielkich Pieców”.

Pobieżny ten, powtórzmy, szczerząca się miejscami ograniczony przegląd starszych i zupełnie niedawnych nowości wydawniczych zakończmy wymienieniem po jednym chociaż tytuł z literatur obcych. Wybór pada na Bajki Leonarda da Vinci w tłumaczeniu i wyborze Leopolda Staffa, na „Hamleta” w nowym przekładzie Romana Brandstaettera, (który wejdzie do przygotowywanego przez PIW zbiorowego wydania dzieł Szekspera, na „Buddenbrooków” T. Mann’a i — z literatury radzieckiej — na „Kropki z drzew leśnych” Mielasa Priszwina, tę przeświecną książkę-notatnik znakomitego pisarza — pierwcy przyrody.

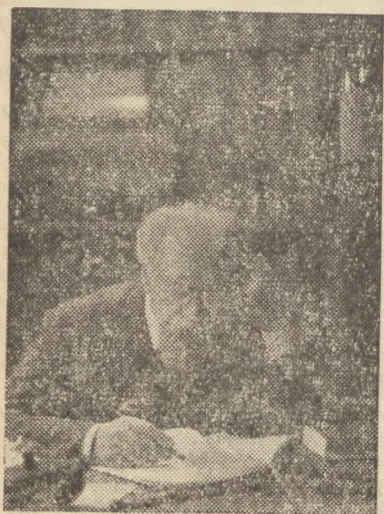
Pozostaje literatura francuska. Ten jednak necący temat niech już zostanie jako pretekst do następnego felietonu.

an

Andrzej ODNOWA

Brydziński w »Niespokojnej starości«

L. Rachmanowowi, znanemu u nas z sztuki „Okno w lesie”, udało się w nowej jego sztuce rzecz dość niezwykła: To, na co dramaturdzy z kręgu tzw. „romantyzmu rewolucyjnego” (Iwanow, Lawreniew, Sławin, Pogodin, Wiszniewski) potrzebowali monumentalnego widowiska, z wielką ilością zmieniających się obrazów, z tłumem historycznych i niehistorycznych postaci, to samo zdołał Leonid Rachmanow zmieścić w czterech aktach, w ramach kameralnego wnętrza,



Państwowy Teatr Powszechny w W-wie. „Niespokojna starość” L. Rachmanowa. Reżyseria K. Borowskiego. Na zdjęciu Wojciech Brydziński w roli prof. Poleżajewa
foto. C.O.P.A.

I na dobrą sprawę, skupić to w mądrym i czującym sercu jednego człowieka. Jest nim postać w zasadzie fikcyjna choć napisana, jak się zdaje, z myślą o Timiriazjewie — profesor Poleżajew, znany w świecie, lecz zapoznany w rosyjskiej ojezyżnie, przyrodnik. Świetna kreacja Wojciecha Brydzińskiego w tej roli czyni z „Niespokojnej starości” w reżyserii Karola Borowskiego nowy sukces Teatru Powszechnego.

Autor, lecz bardziej może jeszcze odtwórca głównej postaci ujął

ją — chyba tak można to określić — nawskroś dialektycznie. Postać Poleżajewa, zwłaszcza w wykonaniu Brydzińskiego, to niezwykle bogate i twórcze połączenie wielu pozornych sprzeczności.

Kiedy na drugim planie dekoracji K. Pręczkowskiego widzimy go na tle biblioteki, sanktuarium ciszy i skupienia, wydaje się jedynie typowym kapłanem uniwersyteckiej wiedzy, roztargnionym nerwowcem, pedantycznym, drażliwym aż do kłótniowości na punkcie własnej racji — ten ludzki rys celowo Brydziński podkreślał — jednym z tych profesorów dawnych pokoleń, pryncypialnych, surowych, szorstkich, o ostrych rysach i ostrym obejściu. A przy tym, chciało by się, na pierwszy rzut oka, podejrzewać go o zasklepienie w zamkniętym, oderwanym od życia kręgu spraw nauki — o kult wiedzy dla wiedzy. Lecz nie! Wysokie pojęcie o nauce nie odrywa Poleżajewa od życia, przeciwnie, pragnie on od dawna naukę najściślej wiązać z praktyką i życiem społeczeństwa. I gdy przemiana polityczne i społeczne przenikają wraz z rewolucją do jego cichego mieszkania, nie odgradza się od nich, lecz wychodzi im naprzeciw. Niedawny odważny liberał opozycjonista z r. 1916, z czasów caratu, nie waha się opowiedzieć w r. 1917 publicznie za bolszewikami, wbrew atakom reakcyjnej prasy, wbrew bojkotowi kolegów-profesorów i konserwatywnej studenterii.

Bo w Poleżajewie Brydzińskiego są jakby dwaj ludzie. Jeden to ów badacz z pracowni, zamyślony, aż przewrażliwiony na punkcie skupienia. Drugi to ten, który zjawia się wśród ludzi, człowiek w gruncie rzeczy dobronudzny, nieomal rozlewny, choć co raz na nowo chwytający się w garść („po angielsku”, jak mówi), żądny życia i gotów do jego przekształcania, człowiek który nigdy nie stoł w miejscu. Brydziński oddał wspaniale i tę ży-

wość niestrudzonego starca, jego żwawy, nierzadko zadyszany pośpiech, aż porywczosć jego ruchów i gestu. Intrawertyzm i extravertyzm: pogrążenie w wewnętrznym świecie myśli i zainteresowanie światem zewnętrznym. Aby podkreślić jego czujność, ciekawość świata i ludzi, Brydziński zwraca w swej grze uwagę na żywy kontakt z takimi elementami dekoracji i rekwizytów, jak okno, zza którego dochodzą odgłosy wypadków rewolucyjnych, drzwi, telefon. Ile żalu i zazdrości kryje się w uwadze chorego profesora, że już wszyscy dzwonią do jego zastępcy, nie do niego. Przy wielkiej zasadniczości moment osobisty nie jest mu obcy. Jak nieśmiało podpytuje swego ulubieńca, rewolucjonistę, czy mówił z Leninem... o nim. Jest jakiś dziecięcy upór w jego „ja sam, ja sam”, kiedy, chory, chce osobiście bronić w Radzie Piotrogrodzkiej sprawy zakładanego Instytutu, marzenia jego życia. A jego radość, z wydrukowanej wreszcie, już po rewolucji nowej książki.

Poleżajew Brydzińskiego, wygranego wszechstronnie, całym rejestrem środków aktorskich, wydaje się sa-

mym życiem i ruchem, niespokojną, niewyczerpaną żywotnością.

Zasady dialektycznego światopoglądu nie zawsze dotąd znajdowały dostatecznie sugestywne odbicie w sztuce, nawet w sztuce scenicznej. Postać Poleżajewa, poparta na polskiej scenie wybitną kreacją Brydzińskiego, stanowi piękną ilustrację twórczych cech tej postawy wobec życia. I jeśli nawet zostało jeszcze w przedstawieniu — mimo starannej reżyserii — trochę, melodramatycznie podanej, deklaracyjności, gra Brydzińskiego uprawdopodobniła ją, i co dziwniejsze, nie przez stonowanie, umiar, lecz przeciwnie, przez podniesienie temperatury odpowiednich partii, przez wprost gwałtowną, żarliwą wyznawczość.

Sztuka Rachmanowa ma znaczne wartości sceniczne, sporo napędu dramatycznego i nastroju — całą obsada przedstawienia w Teatrze Powszechnym dała dużo ze siebie, aby, sekundując znakomitemu odtwórcy roli głównej wydobyć wartości sztuki. Żonę profesora zagrała E. Podborówna, stwarzając, mimo braku pełnych zewnętrznych danych postaci, która z bie-

giem akcji nabrała w jej interpretacji coraz więcej ciepła i zyskiwała coraz więcej sympatii. Postać marynarza-rewolucjonisty interesująca ujął, korzystając niewątpliwie i z opracowań teatru i filmu radzieckiego, M. Serwiński. Docenta Worobiewa, przedstawiciela kontrrewolucyjnej opozycji inteligencji, widzi J. Słowiński w programie teatralnym jako „szalowane go neurastenika i poezera, którego zła ambicja i zacofanie polityczne wyprowadzają na manowce. N. Nader wydobyl te cechy, ale zastosowane przez artystę środki aktorskie przechyliły tę rolę zanadto w stronę czarnego charakteru, nie pozwoliły powstać żywej, ludzkiej, w pełni zrozumiałej postaci. T. Bartosik, którego wdzięcznie wspominamy z „Rozbitków” czy „Panny bez posagu”, zapowiadał więcej aniżeli urzeczywistnił w trudnej, choć pozytywnej roli Boczarowa. Szczery humor wnosił drobny epizod z dozorcą (J. Zejdowski). Z pozostałych ról wymienić należy suflerkę, która jednak szarżowała, stając się wprost bohaterką pierwszego aktu sztuki.

Andrzej odnowa

Głos, który zamilkł

W ROKU 1946, w okresie kiedy rozpoczął się atak amerykański na kinematografię europejską zabrano się także do „czystki” wśród filmowców amerykańskich, która była wzorowaną na „czystce” zorganizowanej przez Goebbelsa w roku 1933 w filmie niemieckim. Śledztwa i prześladowania Komisji do badania działalności antyamerykańskiej dotknęły wszystkich postępowych i podejrzanych o postępowość filmowców i aktorów. Punktem szczytowym represji był proces 10 realizatorów filmowych z Hollywood, zorganizowany przez Komisję a będący naruszeniem Karty Praw narodu amerykańskiego. Oskarżonymi byli wybitni filmowcy, którzy w okresie prezydentury Roosevelta gorąco popierali tzw. „Nowy Ład” (New Deal), i tworzyli filmy mówiące o przyjaźni ze Związ-

kiem Radzieckim, o wojnie z faszyzmem, o walce z nędzą i bezrobociem. Realizatorzy ci, indagowani przez Komisję nie przestraszyli się groźb i prześladowań, a nawet nie chcieli się tłumaczyć z tego, że wyrazili w swojej sztuce idee zgodne z ich poglądami — dlatego skazano ich na więzienie.

Warto przypomnieć dziś mocne przemówienia przed sądem jednego z oskarżonych, Alberta Maltza:

„Jestem Amerykaninem i sądzę że słownictwo nasze nie zna wyrazu godniejszego. Jestem nowelistą i scenarzystą. Podczas ostatnich piętnastu lat miałem okazję wykazać się szeregiem prac. Jak wszyscy inni pisarze, wypowiadałem się na temat tego, co ukształtowało moje życie. Tu urodziłem się i spędziłem lata dzieciństwa. Tu chodziłem do szkoły... Pisałem więc o naszej atmosferze wolności, tolerancji i o pozytywnych tradycjach badań śledczych, o krytyce i o dyskusji.

A oto w wieku lat trzydziestu dziecieńcu zostałem wezwany przed Komitet do Badania Działalności Antyamerykańskiej wyłoniony przez Senat. Stwierdziłem, że procedura ta jest bezprawna, a z punktu widzenia etycznego jest wręcz nieprzyzwoita.

Mamy tu wreszcie inny powód, dla którego tak ja, jak i inni zostaliśmy wezwani przed Komitet. Powodem tym są nasze przekonania. Wspólnie z wieloma Amerykanami popierałem „Nowy Ład” jak również i ustawę antylynchową. Na przekór panom Thomasowi i Rankinowi popierałem kontrolę OPA, pomoc dla weteranów oraz sprawiedliwe rozwiązanie problemów mieszkaniowych i zatrudnienia. W związku z tym podpisywałem odpowiednie petycje, występowałem do organizacji, które patronowały tym sprawom, pomagałem im materialnie, a niejednokrotnie występowałem nawet publicznie i będę tak postępował dalej...

Gdybym był agitatorom generała Franco — na pewno nie wzywano by mnie przed Komitet w charakterze oskarżonego. Wolę raczej umrzeć, niż być lichym Amerykaninem, drżącym przed takimi ludźmi, jak Thomas, czy Rankin, którzy prowadzą dziś w Ameryce politykę nie różniącą się niczym od polityki Goebbelsa i Himmlera w Niemczech. Naród amerykański musi wybrać między Kartą Praw a Komitetem Thomasa. Razem istnieć nie mogą!”

Dziś już widzimy, że optymizm Maltza, jego wiara w skuteczność walki o swobodę twórczości artystycznej w Ameryce okazała się niestosowna. Ostatnie jego słowa przed

więzieniem: — „Przyjaciele bądźcie dobrej myśli!” — odbiły się smutnym echem w atmosferze narastających represji i prześladowań. Wybitniejsi filmowcy albo podporządkowali się albo zamilkli. Wyler, reżyser „Najpiękniejszych lat naszego życia”, oznajmił: „Dziś praca nad takim filmem jak mój ostatni nie byłaby nawet do pomyslenia”.

Podjeźźani dostawali się na czarne listy, traciли pracę, stawali się wy rzutkami społeczeństwa. Mimo tych prześladowań znajdowali się jednak i tacy, którzy woleli utratę pracy niż zdradę własnych przekonań i kraju. Odmówił współpracy z Komisją i przeciwstawił się jej działalności głośny aktor — Howard da Silva i znana w Polsce z filmu „życie Emila Zoli” — Gale Sondergaard, która na prześladowania Komisji odpowiedziała listem otwartym opublikowanym w „The Canadian Tribune”, kończącym się słowami: „Ponieważ nie jestem faszystką czuję się najściślej związana z tymi, którzy wierzą w braterstwo ludzi, z tymi którzy wiedzą jakie zniszczenie dla całego świata przyniesie musi wojna, prowadzą walkę o utrzymanie pokoju... Zostałam wybrana, wybrana by mówić o postępie, braterstwie i pokoju. Jestem Amerykanką”.

W Hollywood zaczęto produkować filmy według poleceń Komisji Thomasa inspirowanej przez Białą Dom. Niedawno Prezydent Truman przyjął dwudziestu kilku filmowców hollywoodzkich i oświadczył im między innymi: „W czasie ostatniej wojny dużo podróżowałem po Stanach Zjednoczonych i zrozumiałem jaki wielki wpływ wywiera przemysł na podtrzymywanie morale ludności cywilnej i żołnierzy”.

Generał Collins poparł prezydenta podkreślając ze swej strony wagę filmu w czasie wojny. Stworzone więc Komisję dla wzmocnienia propagandy zagranicą.

Nie długo po tym senator Johnson oskarżył Hollywood, że nie zrobił niczego, aby podtrzymał Stany Zjednoczone w walce przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Eric Johnston oburzony tym zarzutem odpowiedział podając listę szesnastu filmów „które zwalczają komunizm wszelkimi możliwymi sposobami”.

Mimo tej „ofiarniej” pracy obecnych producentów Hollywoodu, mimo utworzenia przy Białym Domu specjalnej komisji propagandy filmu za granicą, mimo różnych sposobów zwalczania filmu europejskiego, film amerykański stracił już od dawna swe dobre imię. Publiczność nie tylko w Europie ale nawet i w Ameryce po prostu przestaje chodzić do kina na filmy, w których pozostały, jako jedyne „lojalne” tematy — erotyka i zbrodnia. LIG.

Z FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

O STATNI koncert orkiestry Filharmonii Warszawskiej (13 i 15 czerwca) otwiera uwertura do opery „Ruiny Babilonu” Karola Kurpińskiego (1735 — 1857). Choć nie jest ona arcydziełem, to jednak dobrze się stało, że słuchacze mieli możliwość wysłuchania tego utworu. Kultura muzyczna opiera się przecież nie tylko na dziełach twórców genialnych, gwiazd „pierwszej wielkości”, lecz również i na utworach dziesiątków kompozytorów „drugiej rangi”. Coraz częściej wykonywane utworów zapomnianych polskich kompozytorów świadczy o zrozumieniu roli, jaką odegrali oni w rozwoju muzyki polskiej, a w szczególności w utrzymaniu ciągłości polskiej kultury muzycznej.

Solista koncertu, Zbigniew Szymonowicz, odegrał koncert fortepianowy Es—Dur Ludwika van Beethovena (1770 — 1827). Wykonanie tego koncertu — jednego z najpiękniejszych a zarazem i najtrudniejszych w literaturze muzycznej — wymaga od pianisty doskonałego opanowania techniki instrumentu i zdolności oddania głębi beethovenowskiego natchnienia. Szymonowicz, jeden z najlepszych polskich pianistów, jest doskonałym „technikiem” i „interpretatorem”. Tym razem jednak niemal zawsze cechujący jego wykonania „dytans” pomiędzy dziełem a wirtuozem, nie przyczynił się do wzorowego wykonania koncertu. Najbardziej rzucało się to „w uszy” w ostatniej części (rondo-allegro).

Prócz tego, Tadeusz Wilczak nie zawsze potrafił poprowadzić orkiestrę zgodnie z koncepcją solisty... swoją własną (choć przygotował orkiestrę bardzo dobrze). Planisci uniwersalni, wykonawcy zarówno Bacha i Beethovena, jak i Chopina i Debussy'ego zdarzają się rzadko. Wiadomo, że Szymonowicz gra świetnie Chopina. Jak się jednak zdaje, muzyka Beethovena nie odpowiada rodzaju jego talentu — oto chyba główne źródło kłopotów i trudności ostatniego wykonania koncertu Beethovena.

Dźwięk rogu — ulubionego instrumentu romantyków — którego solo rozpoczyna VII symfonię C—Dur Franciszka Schuberta (1797—1828) wprowadza słuchaczy w „klimat” zupełnie odmienny od tego, w którym powstawał koncert Es—Dur Beethovena (choć oba te utwory powstały w odstępnie niecałkowicie lat dwudziestu!). Mimo wielkiego ładunku „romantyczności” zawartego w jego dziełach, Beethoven był zbyt jeszcze „klasyczny” aby odważyć się na rozpoczęcie tak różnorodnych ze swych symfonii dźwiękiem rogu! Druga zasadnicza — obok nastrojowości — cecha muzyki schubertowskiej to niemal zupełny brak polifonicznego opracowania tematów — „Schubert ich nie rozwinął, lecz powtórzył z a. Genialna inwencja zastępowała mu braki muzycznego wykształcenia. Zdawał sobie z tego sprawę sam Schubert, to też zgłoś się do Sechtera, wiedeńskiego

nauzyciela kontrapunktu i fugi z prośbą o udzielanie mu lekcji. Odbił jednak tylko jedną, na drugą nie przyszedł, gdyż... już nie żył. W chwili śmierci liczył 31 lat. Pod tym względem „wyprzedził” go tylko wielki Pergolesi, który (sto lat wcześniej) zmarł w 26. tym roku życia. Wszyscy inni „wybrańcy bogów” (nawet Mozart, nawet Mendelsohn i Chopin) żyli dłużej, aniżeli Schubert, który jako 18-letni chłopak dał początek nowej epoce w historii pieśni, tworząc w jednym roku kilkanaście dzieł wokalnych o najwyższej wartości.

Pomysł wykonania symfonii Schuberta (ostatnie dzieło instrumentalne kompozytora) i koncertu Es.Dur Beethovena w ramach jednego wieczoru bardzo dobry. Z wyjątkiem zaznaczonych wyżej usterek orkiestra brzmiała naogół dobrze. Akustyka sali Teatru Narodowego wymagała by jednak przesunięcia orkiestry bardziej ku przodowi sceny, lub też zgrupowania poszczególnych zespołów instrumentów. Siedzący na dalszych miejscach słuchacze narzekali na nieco „ksylofonowe” brzmienie fortepianu i „matowosć” kolorytu orkiestry, a także zbyt silne wybijanie się dźwięku niektórych grup instrumentów. Piszącemu te słowa trudno by było eksperymentować podczas trwania koncertu i badać prawdziwość tych opinii. Trzeba jednak sprawdzić, czy zarzuty te są uzasadnione, a jeżeli tak, należy spróbować zaradzić ziemu.

C. K.